

OXO 2552/1984/23

# Str.12-MAREK HŁASKO: „PĘTLA”

Rozpoczynamy druk głośnego (niegdyś) opowiadania

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933

PL ISSN 0137-7108 Nr Indeksu 36251

# Kammena

NR 23 (816)

4 - 17 listopada 1984

CENA 10 ZŁ

## „Matolenie czy uczenie?”

### W którą stronę kręcić śrubę?

Z DUŻYM zainteresowaniem, przeczytałem w nr. 16 i 17 „Kamena” artykuł N. Zukowskiego pt. „Matolenie czy uczenie?”. Jako ojciec ucznia IV klasy szkoły podstawowej uważam, że publikacja ta powinna znaleźć się na biurkach naszych władz oświatowych. Nie kto inny, ale właśnie one swoimi „genialnymi” reformami i programami, przyczyniają się do wyjąłowania mózgow naszych dzieci. [...]

Oto konkretny przykład mojego syna IV-klasisty i jego kolegi, których, dzięki ciągle unowocześnianemu programowi szkolnemu, już w tak młodym wieku ogarnął analfabetyzm w dziedzinie prac technicznych i kalectwo z zakresu wychowania fizycznego, gdzie prosty „fikolek” jest dla nich nie lada problemem. Ale po kolei.

Kilka dni temu zabrałem tych dwóch chłopców na działkę, żeby pomogli mi w prostych pracach ręcznych i majsterkowych. I był taki moment, że wkręcałem i wykręcałem śruby. Chłopcy stali i przyglądali się z zaciekawieniem, mimo że mieli wyznaczoną inną pracę: przepiłować deski na pół. Przyglądali się, przyglądali i naraz jeden z nich pyta: „a skąd ty wiesz, w którą stronę trzeba kręcić śrubę?”. Spojrzałem zdziwiony, nie wiedząc, o co chodzi, i spytałem: „A wy

nie wiecie? To pan od techniki nie uczył was?” Zobaczyłem pogardliwie wyduńnięte usta i machnięcie ręką. Nie wierzyłem, nie mogło pomieścić mi się w głowie, że 11-latkowie nie wiedzą, jak wkręcić i wykręcić śrubę. Chciałem wybuchnąć, zwymyślać ich od baranów... Zreflektowałem się, gdyż przed oczyma stanął mi artykuł „Matolenie czy uczenie?”. Kilkanaście minut wkręcałymi i wykręcałymi śrubami, chłopcy dowiedzieli się nareszcie, co to jest gwint lewy i prawy. Łeb śruby, nakrętka, podkładka. Byli zdumieni, że ta głupia śruba ma tyle tajemnic.

Z przepołowieniem piłą deski było jeszcze gorzej. Znowu musiałem zrobić wykład na temat piły, deski i że w desce może być sęk... I cały sęk w tym zagadnieniu, że pan od zajęć techniczno-praktycznych pokazywał im, jak się deskę rżnie, ale zabronił tego, „żebyście sobie rąk nie poobrzymali”.

I znowu: po 20 minutach praktycznych zajęć chłopcy rżnęli jak drwale i gdybym ich nie powstrzymał, porznięliby altanę na kawałki. Nie chcę się już rozpisywać na temat moich spostrzeżeń dotyczących przybijania przez nich deski. Co drugie uderzenie młotkiem to uderzenie w palec i obok gwoźdźca.

Zacząłem zastanawiać się nad tym naszym superreformowanym programem, który nakazuje dziecku IV klasy wykonać pod okiem pana, a w praktyce rękami tatusia, wagę kuchenną, która ma ważyć, natomiast nie uwzględniła kilku godzin praktycznej zabawy polegającej na wbijaniu

Dokończenie na str. 9

### Anna Achmatowa



Aleksandrowi Błokowi

Przyszłam do poety w gości.  
W samo południe. W niedzielę.  
Cisza w obszernym pokoju,  
A za oknami mróz

I malinowe słońce  
Nad szarym rosochatym dymem...  
A tu milczący gospodarz  
Patrzy na mnie pogodnie!

A oczy ma takie,  
Ze każdy musi je spamiętać;  
Wiem, lepiej jeśli przezornie  
Ja dzisiaj w nie nie popatrzę,

Lecz  
Nie zapomnę rozmowy  
W niedzielne i mgliste południe  
W szarym wysokim domu  
Przy morskich wrotach Newy.

Przełożył Roman Gorzelski

(Dalsze wiersze poetów radzieckich drukujemy na str. 7)

## KORZENIE

### ROZMOWA Z LESZKIEM PIASECKIM PREZESEM ZWIĄZKU POLAKÓW W AUSTRII „STRZECHA”

— Zróżnicowanie Polonii na świecie jest z pewnością nie mniejsze niż zróżnicowanie postaw Polaków: tu i teraz. Od jawnej wrogości do współpracy organizacji polonijnych z krajem i jego administracją. Co pan, jako prezes „Strzechy”, ma — w tej materii — do powiedzenia na temat Związku, któremu przewodzi?

— Związek nasz, obchodzący w tych dniach jubileusz 90-lecia, wybił medal, na którym zostało napisane: „90 lat więzi z Ojczyzną”. To — jak sądzę — tłumaczy wszystko. Pojęcie Ojczyzna jest nadrzędne wobec wielu innych, uwarunkowanych politycznie, ekonomicznie, a także koniunkturalnie. Tak to rozumiem: myślę, że także zdecydowana większość członków „Strzechy”

— Tym zapewne należy tłumaczyć, iż patronat nad jubileuszem objeli: Rudolf Kirchschläger, prezydent Austrii, i Henryk Jabłoński, przewodniczący Rady Państwa PRL.

— Istotnie, 20 kwietnia bieżącego roku delegacja „Strzechy” przyjęta została w Hofburgu przez prezydenta dr. Rudolfa Kirchschlägera, a 23 maja, w Belwederze przez prof. Henryka Jabłońskiego, przewodniczącego Rady Państwa. Inicjatywa wyszła nie z naszej strony, tym większe powodzenie do satysfakcji. Podczas tych spot-

kań poinformowano nas o objęciu patronatu

— Cele działalności Związku „Strzecha”, w ich kontakcie polsko-austriackim, reguluje także nasz statut.

— Dodam, iż jest on zarejestrowany przez władze państwa austriackiego. W paragrafie 2 tego dokumentu stanowią dwa zasadnicze, rudymen tarne cele działania: a) Utrzymywanie więzi między Polakami zamieszkającymi w Austrii a Polską Rzeczpospolitą Ludową oraz lojalne wypełnianie obywatelskich obowiązków wynikających z konstytucji Związkowej Republiki Austrii; b) Pielęgnowanie wśród członków Związku poczucia godności narodowej i obowiązków moralnych wobec Kraju swego pochodzenia.

— Jak powstała „Strzecha”?

— Stowarzyszenie Polskie „Strzecha” (bo taką nazwę początkowo nosił Związek) zostało zarejestrowane w Namiestnictwie Dolnej Austrii 28 listopada 1894 roku. Dzień później doniosła o tym „Polska Gazeta Wiedeńska”. Doprowadziły do powstania „Strzechy” przede wszystkim konsekwentne działania Augusta hr. Łosia. Dzięki jego zabiegom doszło do roz-



Medal „Strzechy” (rewers). Autor Zb. Kotyła.

wiązania towarzystw polonijnych „Zgoda” i „Lutnia”, których członkowie utworzyli nowy związek. Warto tu przypomnieć, że do komitetu organizującego fuzję obu towarzystw należeli m.in.: Teofil Bieńkowski — prawnik, Mikołaj Gil — ślusarz, Mieczysław Kluczewski — artysta rysownik, Teofil Kotyłowicz — właściciel fabryki fortepianów i harmonii, Bronisław Szumalski — urzędnik i Pius Twardowski — c.k. radca dworu. Rolę trudną do przecenienia odegrali także w tworzeniu „Strzechy” dr Franciszek Karol Heurteux i Karol Łoziński — wyżsi urzędnicy c.k. ministerstwa kolei żelaznej.

1 grudnia 1894 roku, na pierwszym walnym zebraniu, dokonano wyboru zarządu, którego prezesem został Pius

Twardowski, i uchwalenia programu działania, ponadto nadano honorowe członkostwo Augustowi hr. Łosiu i byłemu prezesowi „Lutni” Teofilowi Kotyłowiczowi. W pierwszym roku działalności „Strzecha” liczyła 81 członków: 74 zwyczajnych, 5 wspierających i 2 honorowych. Później naturalnie następowała rozbudowa szeregów

— Dlaczego doszło do fuzji „Lutni” i „Zgody”? Skąd nazwa „Strzecha”?

— Wspomniany już hrabia Łoś był gorącym rzecznikiem i propagatorem jedności ruchu polonijnego bez względu na pochodzenie społeczne jego uczestników, pozycję społeczną, materialną. Uważał, że w warunkach, kiedy Polski nie ma na mapie Europy, jest nonsensem, aby poza jej granicami geograficznymi i etnicznymi wychodziły tworzyły różne towarzystwa polonijne. Zapewnienie jedności ruchu uważał za rzecz podstawową.

Skąd nazwa? Poszukiwano jakiegoś symbolu łatwo czytelnego dla Polaków na obczyźnie. Strzecha kojarzyła się zawsze z domem rodzinnym i jego spokojem, bezpieczeństwem

— Koncepcja hr. Łosia implikowała konkretne oczekiwania w wielu — tak byłym to dziś oświeździeli — płaszczyznach życia polonijnego.

— Naturalnie. Zaznaczyło się to od początku działalności „Strzechy”, od początku jej — powiedziałbym — działalności podstawowej, za którą przyjmujemy odczyt dr Feliksa Gnатовskiego pt. „Powstanie Stępczynie” wygłoszony 23 stycznia 1895 roku. Nurt działalności odczytowej czy oświatowej był i jest w działaniu

Ciąg dalszy na str. 8



# Tylko do 10 listopada można zaprenumerować „Kamene” na 1985 rok

**C**ZAS, jeśli wielu czytelników skarży się, że nie może dostać „Kamene” w kiosku „Ruch”; otrzymujemy listy z prośbą o nadsyłanie poszczególnych numerów. Naprawdę nie jesteśmy w stanie tego uczynić! Podkreślamy: tylko prenumerata zapewnia możliwość stałego otrzymywania pisma!

A warunki prenumeraty na rok 1985 są następujące:

## 1) DLA OSÓB PRAWNYCH — INSTYTUCJI I ZAKŁADÓW PRACY:

● instytucje i zakłady pracy, zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby RSW „Prasa — Książka — Ruch”, zamawiają prenumeratę w tych oddziałach:

● instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, w których nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” i na terenach wiejskich, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;

## 2) DLA OSÓB FIZYCZNYCH — INDYWIDUALNYCH PRENUMERATORÓW:

● osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, w których nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch”, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;

● osoby fizyczne mieszkające w siedzibach oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają

prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych, właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch”.

Można też w Polsce zaprenumerować „Kamene” dla znajomych lub krewnych przebywających za granicą i płacić w złotychkach. Szczegóły w urzędach pocztowych.

Cena rocznej prenumeraty „Kamene” — 260 zł, półrocznej — 130 zł. Z wysyłką pocztową za granicę o 50 proc. drożej.

**NIE ZWLEKAJ!** Dzięki prenumeracie skompletujesz drukowane w „Kamene” powieści i teksty prezentowane z odcinka na odcinek. Na razie „Pętle” Marka Hlaski, a potem... (!!!).

## z notatnika

Ten notatnik jest nieco inny. Tydzień byłem poza Lublinem — redaktorzy też muszą się szkolić, wymieniać między sobą wzajemne doświadczenia, które może zaowocują w przyszłości przy tworzeniu kształtu poszczególnych numerów czasopism. Ale tydzień poza Lublinem to, siłą rzeczy, oderwanie się od miejscowych, i nie tylko miejscowych, problemów... Pozostawało radio i telewizja, z uwagą i napięciem słuchaliśmy kolejnych komunikatów na temat dramatycznej prowokacji politycznej. Obradujący w Warszawie Komitet Centralny PZPR zajął w tej sprawie na XVII Plenum jednoznaczne stanowisko stwierdzając, że „działanie sprzeczne z prawem godzi w linię socjalistycznej odnowy [...], w całą partię i jej kierownictwo, w nasze państwo i społeczeństwo. Godzi też w proces wewnętrznej stabilizacji, w stosunki Państwo—Kościół, w międzynarodowy prestiż naszego kraju. [...] Komitet Centralny zwraca się do organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości o szybkie doprowadzenie do końca śledztwa w sprawie uprowadzenia księdza Jerzego Popiełuszki, o ostateczne ustalenie bezpośrednich i ewentualnie pośrednich sprawców tego przestępstwa, ich surowe ukaranie oraz systematyczne informowanie o powyższym opinii publicznej...”

Bezpośrednich sprawców znamy już po telewizyjnym i radiowym przemówieniu min. gen. Czesława Kiszcza. Śledztwo trwa. Jest jeszcze wiele znaków zapytania, choć prawda jest gorzka. Bardzo gorzka. Niemniej energiczne działanie władz musi zasługiwać na uznanie. A sprawiedliwości stanie się zadość: nie może być pobłażania dla anarchii i terroryzmu w żadnej postaci!

Tyle jestem w stanie napisać 27 października...

## Komunikacyjna pustynia

Taksówkarze mają jakieś swoje zrzeszenie (przez małe czy przez duże „z”) i zwykle, kiedy rozmowa schodzi na ten temat, słyszę z ich ust raczej pretensje, a nie pochwały. Zastanawiam się jednak, kto powinien zatroszczyć się o to, aby choć jeden lub dwa postoje miały zainstalowane telefony? Pod tym względem Lublin jest dzisiaj jedną wielką pustynią!

Kiedyś mieliśmy w naszym mieście „radio-taxi”. Telefonowało się pod nr 919 i prędzej czy później udało się zamówienie zrealizować. Niestety, „radio-taxi” zbankrutowało, a do dawnych, chałupniczych metod też nie powrócono.

Właściciel taksówki nr 990 mówi: „Panie redaktorze, często jest tak, że pod dworcem kolejowym długo czeka się na klienta. Czekam ja, czekają koledzy. Gdyby ktoś zadzwonił, chętnie by się pod wskazany adres pojechało. Teraz nawet z „Unif” dla zagranicznych trudno zamówić taksówkę. Jak to świadczy o naszym mieście?”

Nie najlepiej. Fakt. Oczywiście taki telefon może znajdować się w zamkniętej na klucze skryniczce, każdy taksówkarz dysponowałby osobnym kluczem... Można też szukać innych rozwiązań, ale przecież obecna sytuacja jest skandaliczna!

Sprawa druga to problem komunikacji: dworzec kolejowy — centrum miasta, że nie powiem już — dworzec kolejowy — LSM, czy dworzec kolejowy — Czechów. Rozkład jazdy pociągów wygląda tak, że o godzinie 22.40 przyjeżdża do Lublina pociąg pospieszny z Krakowa (który zwykle się spóźnia), a o godzinie 23 pociąg z Warsza-

wy. Przy tym spiętrzeniu kolejka do taksówki jest przed północą gigantyczna. Niestety, u nas nie ma tego zwyczaju, aby taksówkarz mógł dobrać sobie pasażerów. (Za to zresztą może dostać po głowie!) Diabli jednak człowieka biorą, kiedy widzi, jak jeden facet wsiada i jedzie sobie po królewsku, a pozostali, których interesuje ten sam kierunek, jak stali tak i stoją nadal.

Kiedyś MPK dysponowało mikrobusami, które z dworca jechały określoną trasą. Płaciło się drożej, ale była wygoda. Nie wiem, czy nie można uruchomić specjalnych dodatkowych autobusów? Niech bilet kosztuje nawet 20 złotych, niech kierowca ma z tego coś ekstra, amatorzy z pewnością się znajdą, bo to będzie i taniej i szybciej niż taksówką.

Szanowny Panie Prezydencie Lublina, Szanowny Panie Dyrektorze MPK! Pomyślcie! Przynajmniej moja wdzięczność — zapewniona. Przy ograniczeniach benzynowych już rzadko kto jedzie do Warszawy służbowym czy prywatnym wozem, toteż droga powrotna do domu staje się prawdziwą drogą przez mękę! Nie na trasie, ale w samym Lublinie!

## Bestsellery

Czasopisma walczą o nakłady jak lwy. Różnymi metodami. „Morze i Ziemia” kończy właśnie druk „Zycia po życiu” Szumana (na duchy zawsze było u nas zapotrzebowanie) i zapowiada pierwszy odcinek „przejmującej powieści miłosnej” (O Marii Rodziewiczówny pt. „Między ustami a brzegiem pucharu”). (Redaktorze Liskowacki, przy okazji reklama!). „Zycie Przemyskie” popularyzuje „Kariere Nikodema Dyzmy” Mostowicza, a „Tygodnik Nadwiślański” wzięła na swe łamy „Znachora” tegoż autora...

Oczywiście prawie wszędzie są horoskopy; jeśli się je porówna można skłócić! „Tygodnik Ciechanowski” też drukuje horoskopy, ale zarazem prezentuje swym czytelnikom bodaj najbardziej potrzebną książkę: spis telefonów.

Pół roku temu zamieściłem w „Karuseli” humoreskę, w której zespół redakcyjny pisma X debatował nad problemem: jak zwiększyć nakład? Zwiększył właśnie pomysł druku spisu telefonów. Okazuje się, że „Tygodnik” wzięła mój żart na serio i chyba dobieże na tym wyszedł. W gruncie rzeczy moja humoreska wcale nie była wydumana za biurkiem: przy końcu lat pięćdziesiątych spis telefonów drukował „Kurier Szczeciński”. A więc nie nowego pod słońcem!

Nie wiem kiedy ukaże się lubelski spis telefonów. Po zmianie numerów, po dodaniu piątek bądź siódemek obecny spis stanowi dla niewtajemniczonych abrakadabrę. Niestety, „Kamena” ciągle nie jest tygodnikiem, trudno jej nowy spis drukować, bo początek mógłby się stać nieaktualny przy... końcu, ale może pomysł kupi „Kurier Lubelski”? Ja tam nie wierzę, aby Kochana (pisząc skróto) poczęła nawet po podwyżkach taryf coś w tej mierze zdziałać! Chętnie bym się mylił!

## Był to przedruk

Numer 311 napisał w „Tu i Teraz” (nr 42), że w Krakowie ukazują się dwa periodyki: miesięcznik „Zdanie” oraz magazyn ilustrowany „Kraków”. „Kraków” jest dostojny, tradycyjny, patetyczny i oficjalnie nudnawy. „Zdanie” jest żywe, buńczuczne, pobudza do myślenia. „Kraków” dostojnie spoczywa na półkach kiosków. „Zdanie” jest zacytywane i wyrwane spod łady. Dalej mowa o papierze, ale to problem osobny, choć faktycznie papier, na którym drukuje się „Zdanie”, jest więcej niż marny.

Numer 311 napisał w „Tu i Teraz” (nr 42), że w Krakowie ukazują się dwa periodyki: miesięcznik „Zdanie” oraz magazyn ilustrowany „Kraków”. „Kraków” jest dostojny, tradycyjny, patetyczny i oficjalnie nudnawy. „Zdanie” jest żywe, buńczuczne, pobudza do myślenia. „Kraków” dostojnie spoczywa na półkach kiosków. „Zdanie” jest zacytywane i wyrwane spod łady. Dalej mowa o papierze, ale to problem osobny, choć faktycznie papier, na którym drukuje się „Zdanie”, jest więcej niż marny.

Napisawszy to muszę jednak i „Przeгляд Tygodniowy” obrugać. Edmund Zurek zamieścił na jego łamach reportaż (o E Barszczu) wyróżniony w ogólnopolskim konkursie ogłoszonym przez „Kamene”. Tytuł tekstu został jednak zmieniony, a ponadto redakcja nie zaznaczyła, że ukazał się on już w „Kamene”. Inaczej mówiąc, był to po prostu przedruk! Zeby być (choć częściowo) w porządku wobec „Kamene” zaznaczono na końcu tekstu, iż reportaż ten otrzymał wyróżnienie w konkursie... Redakcji (chyba korekcie) pomylili się jednak tytuły i z „Kamene” zrobiła się „Kamera”. Czy będzie sprostowanie, szanowny „Przeглядzie... Sportowy”? A swo-

ją drogą korektę ma „Przeгляд” straszna!

## Odważny Skorpion

„Głos Szczeciński” z 20–21 października bardzo krytycznie pisze o tym, jak zaprzeczono wielki dzień Pogoni — chodzi o sławetny mecz tej drużyny z FC Koeln. Autor artykułu, zajmującego ponad pół kolumny druku, stwierdza, że w Pogoni pieniądze były na wszystko, tylko nie na opłacenie psychologa. Psycholog przejrzałby swoje karteluski i powiedział trenerowi: w żadnym przypadku egzekutorem karnego nie może być Kensy. „Bo pan psycholog wie doskonale, że Kensy jest piłkarzem nadwrażliwym przy własnej publiczności, że panicznie [...] boi się niemieckiego bramkarza. Nadwrażliwość wywodzi się od meczu eliminacyjnego do olimpiady z NRD, kiedy to — a Kensy był wtedy liderem reprezentacji — on właśnie skompromitował się w oczach szczecińskiej publiczności strzelając samobójczego gola [...] wie też, że Kensy w meczu z Widzewem jedenastki nie strzelił...”

W artykule znajdujemy wiele słów krytycznych pod adresem piłkarzy, nie tylko Pogoni. „Ogólne umiejętności mamy jakoś tam opanowane, ale najgorzej jest z tymi najprostszymi, które decydują o meczu, czyli egzekwowaniem rzutów karnych, a w ogóle rzecz biorąc, strzelaniu bramek. Dlaczego? Bo w każdej średniackiej drużynie zawsze ambicje przerastają umiejętności i to znacznie. Bo miernemu piłkarzowi już w młodym wieku wyrósł syfon z sodową wodą na głowie zamiast umiejętności, które zdobywa się latami żmudnego, bezparto nowego treningu. Tylko mierność może uważać się za półbożyszcze godne transferów, potajemnych pertraktacji o przejście do innego klubu (gdzie notabene taka sama mierność króluje), stawiania warunków trenerowi, klubowi, miastu. Tylko piłkarskie średniactwo może wydumać sobie, że za granicą będzie ze swoimi słabościami umiejętnościami siedział na kokosach, że już to, co wypracowało w polskim klubie, starczy mu na całe życie, bo uczyć się, a to znaczy nawet przy ogromnym talencie — pracować do siódmych potów — mierność nie musi...”

W konkluzji autor artykułu pisze tak: „Pomyślił ktoś, że jestem przeciwnikiem Pogoni i z satysfakcją wylewam żółć na głowy naszych I-ligowców i ich płatnych asystentów wszelkich branż i masel. Nie, jestem zagorzałym sympatykiem MOJEJ drużyny, ale mam na tyle odwagi, by wygarnąć wszystko, co jako dziennikarz zebrałem, przemyślałem i usłyszałem...”

Szybko rzuciłem wrokiem na podpis: który to dziennikarz „Głosu Szczecińskiego” ma tyle odwagi, by wygarnąć wszystko? Mam! Skorpion! O ile wiem, „Veto” też ma swego Skorpiona, ale on pisuje wyłącznie felietony, a nie wielgaśne artykuły publicystyczne. Oczywiście, że autor ma prawo podpisać się pseudonimem, nawet takim jak Skorpion, ale po co zaraz ma się chwalić, że ma tyle odwagi, aby wygarnąć wszystko, co... (itd)? Czyżby odwaga ostatnio zdrożała a rozum potaniał?

A poza tym zgadzam się z tym wszystkim, o czym wyżej. Przy okazji dodam, że Motor też nie umie strzelać karnych. Niemniej i ja jestem zagorzałym sympatykiem MOJEJ drużyny!

M. A. Jaworski



# Posępni w reformie

Edward Apanel



„CIE choroba!” — zawołał soltys Kierdziolek. Za to Zbigniew Soltys z nazwiska i imienia zasiadł wraz ze swą brygadą na ławie. Naprzeciwko siedzącej brygady ustawiona była trybuna. Zaraz na tę trybunę wszedł sam pan dyrektor. Dziwne, że go zaraz murarze nie oklaskiwali, jak drzewiej bywało. Odkaślnął, spojrzął po całej sali, a raczej lypnął gołym okiem. Aż zdawało się, że to jedno oko mnie musnęło.

— Oho! — pomyślałem. — Będzie popijawa. Popijawa. To dotyczyło nas wszystkich, murarzy i budowlańców.

— Koledzy Budowlani! — zaczął dyrektor. — Wszędzie, wście, piszą nawet dość obszernie w prasie i mówią w radiu, telewizji, że dążymy do „trzech S”. My jako dyrektorzy będziemy zdawali egzamin pisemny. [Odbił się w Walbrzychu w końcu maja ub. roku — E.A.]. Teraz nam przyszło realizować to czynem, jak również wam. Zeby nie było nieporozumień między nami, to proponuję, byście wszystkie usterki organizacyjne zgłaszali mnie osobiście telefonicznie, pomijając majstrów i brygadzystów. Przecież jestem waszym głównym szefem, no nie! Musimy nawiązać ze sobą ściślejszą współpracę praktyczną. A nie na zasadzie teorii i dotychczasowego mego zarządzania. Między nami mówiąc, to nie najlepiej ta współpraca wychodzi. Już, mówiąc, z tym planem wykonawczym jest źle. Musicie obecnie być przygotowani na wszystko. Nawet na zmianę stanowisk pracy. Są pytania? Nie ma.

— Ja mam pytanie — zawołał głos ze środka sali.

— Nie ma pytań — zakończył dyrektor. — Proszę teraz rozejść się do roboty.

Wstaliśmy wszyscy, chrząkając. No i dowiedzieliśmy się wszystkiego. Zdawał egzamin. Ale ile? Gdy tak zdać rachunek sumienia i porównać z wypowiedziami p. dyrektora i faktycznym stanem rzeczy to... Lub gdyby zdawał egzamin przed nami, robotnikami, czy nadaje się na stanowisko dyrektora? Słowa swoje, czyny swoje. Obecnie nie damy się tak szybko nabrać. Metoda krzykaczy minęła. Zrobimy, wykonamy, zrealizujemy..., przekroczyliśmy plany. Słowa, słowa, słowa. Nie mają racji bytu. Ktoś już kiedyś wypowiedział się o słowach? Kto? „Cie choroba!” Panie Ofierski, nie gniewajcie się, że plagiat czynię i wykorzystuję Wasze hasło wywoławcze. Ale jestem Soltysiem i mam może po kumot-raku takie małe prawo.

— Panie dyrektorze! — powiedziałem. — Proszę spojrzeć w moje papiery przyjęcia i moją deklarację.

— Pan jest bez zawodu! — patrząc w papiery, odparł dyrektor.

— Jak to! Pracuję przeszło dwa lata w waszym przedsiębiorstwie. Jestem malarzem, i to dobrym malarzem.

— Ale nie ma pan papierów, gdzie pan zdobył zawód!

— Czy papier jest aż tak ważny? Czy czyni i moja praca nie świadczą o fachowości mojej, nie! Przyszedłem do pracy w najgorętszym okresie w 1981 roku. Jestem młody, miałem swoim wpływem hamować bieg wydarzeń strajkowych. A nie było tak wesoło wśród budowlańców, szczególnie wśród młodych. Mieli w zanadrzu wiele żalów i nie spełnionych nadziei, które im obiecywano. Zawód zdobyłem po rodzicach. Od najmłodszych lat już pracowałem na budowach, bo asystowałem ojcu, który był malarzem pokojowym. Jak to mówią u nas obecnie: f a c h u r a. Przez te lata pracy z ojcem i obecnie na budowach... Obrzucił mnie pan. Zależę się z panem, że pan nie zna związku, w jaki wchodzi składniki chemiczne do farby emulsyjnej i na jakiej zasadzie działa chemiczna jej przylepność i niezmywalność. Jest pan magistrem inżynierem. Dyrektorem.

— Nie muszę wszystkiego wiedzieć — odparł.

— Powiedziałbym, jakie mamy nauczanie...

— Dość! Nie nadaje się pan do pracy i koniec. Przenoszę pana na inne stanowisko pracy. Zmusza mnie reforma.

— Reforma to tylko zasłona dymna dla celów... Panie dyrektorze, chęć pan mnie wysłuchać! Od dwóch lat pracuję nienaganie i bez wpadki produkcyjnej. Wykonanie pracy zawsze było dobre, kto wie, czy nie najlepsze w brygadzie. Weźmy dla przykładu. Mamy malować pomieszczenie dla żłobka. Murarze wykonali swe tynkarskie prace. Za to my wchodzimy na teren malowania. Wszędzie dziury, gładzenia nierówne. No to kto winien? Ja! Nie robotnicy tacy jak ja. Majster mówi, że nie ma w kosztorysie gipsu i gipsu nie wypisze. „Malujcie”. Spojrzę na to wszystko. Jak można! Sumienie mnie nie pozwala na tym malować. Chociaż troszkę trzeba to wyrównać gipsem. Skoczyłem po 150 kg gipsu do drugiej brygady. Zmarnowałem trzy godziny pracy. Przychodzę. Majster mówi: „Nie zapiszę ci tych godzin. Chyba, że przyjdiesz w wolną sobotę odpracować lub w niedzielę”. A ja: „Dla kogo ten gips na swój koszt tachalem? Zapłaciłem sumiennie cenę wolnorynkową”. Zrobiliśmy bez poślizgu malowanie. Majster spojrzal na wykonawstwo, aż zachnął się: „Toście zrobili! Kiedy?” Sprawdza ręką po ścianach. Macza w wodzie ścianę. „No dobrze, nie puszcza i nie przepuszcza. Fachury z was!” A pan mówi, że ja niefachowiec! Poszedłem do szkoły średniej licealnej nie po to, by zabrać komuś stanowisko.

— O ile, że państwo i zakład przyłożyli się do „omocy mi, zgodnie z przywilejami dla uczniów szkół średnich-zacocznych. Stopniowo, kiedy zdobywałem średnie wykształcenie, zaczyna-

łem widzieć swą pracę. Nie jako ciemny robotnik. Jak nas przezywają — rob ole. Ale jako kulturalny robotnik, który na swe stanowisko pracy może wnieść wiele kultury fachowej, organizacyjnej i samym wykonawstwem pracy. Robotnik o kulturze osobistej może i powinien, jest to ambicją osobistą, wpłynąć na swych kolegów pracy i wnieść ten świeży powiew kultury socjalistycznej — robotniczej. Zauważyłem w pracy, że wiele czynności można by było przyspieszyć lub technologicznie usprawnić, gdyby odpowiednio dostarczone robotnikom narzędzia pracy, gdyby organizacja była zgodna z wypowiedziami pana dyrektora do słów „trzech S”. Jeżeli ja, malarz, przynoszę za swoje pieniądze narzędzia pracy, tj. pędzle, pompki, klej malarski itp., to ja płacę z własnej kieszeni dlatego, że świadom jestem, że dzięki wykonaniu normy czy też zadania, ja otrzymam pobory. Wliczam zakup w stratę osobistą. Tak jak w Toto-łotku. Stracę lub zyskam. Ale za to moja praca nie powstydzi się nikogo i niczego. A ile dni byłem bez pracy z winy zakładu pracy? Nie dowiedziałem tego lub nawet zwykłej pospółki. A tymczasem wagony pełne stały na stacji kolejowej. Myśmy, oparci na łopacie, politykowali. No dobrze. Ja niefachowiec. Wykonuję zawód malarza bez papierów. Gdyby wam zależało na nas, to przecież jest możliwość przyuczenia do zawodu, kursa i zdania egzaminu kwalifikacji. A wy, jako dyrekcja, co!? Teraz mam iść do łopaty za marne 4 tys. zł miesięcznie. Kiedy podstawowe minimum państwowe jest 5400 zł miesięcznie. To jest po waszemu te „trzy S”?

— Panie Soltys, nawet sto komisji, gdyby pan zawołał, odbierze pańską robotę jako spartaczoną.

— Którą?

— No, tę, malowanie żłobka.

— Ja przecież byłem na zwolnieniu lekarskim.

— Ale figuruje pan, że tam malował.

— To u was w papierach! A w rzeczywistości? Ja, świadomy robotnik, młody, z możliwościami szybkiego przyswojenia nowej reformy gospodarczej, zostałem wykorzystany jako balast. Stracone mam lata pracy, straconą młodość — asystowałem ojcu przy wykonywaniu przez niego malowania. Ja, który farby próbowałem językiem i określałem jej kleistość i przydatność do malowania różnych pomieszczeń! Ja, który próbowałem nawiązać szybkiej kontakt z reformą gospodarczą, wskazując palcem na niedomogi i wąskie gardła węzła gordyjskiego w naszej budowlance i naszej firmie! Jestem do niczego! Jestem zbuntowanym robotnikiem!

— Otóż to! Napisał pan o naszej firmie. A propos, pan wie, jak nazywają takiego, co własne gniazdo kala? Podłym ptakiem!

— Ja kalam własne gniazdo! Już pan dyrektor śmie tak mówić!

— Napisał pan do gazet, jak „Trybuna Walbrzyska”, „Twórczość Robotnicza”, o naszej firmie. O naszych niedomaganiach i niesprawności. Gdyby one zostały nie ujawnione na światło dzienne, sami we własnym zakresie pralibyśmy swe brudy. A tak odnieśliśmy nas pan. Jak pan to napisał? Za ja jako dyrektor Bernat powiedziałem, a raczej wyraziłem się do robotników niecenzuralnie, obraziłem ich tymi słowami. Jak pan śmie coś takiego pisać! Widzi pan, mimo pańskich zabiegów inteligentnych, że niby z pana pisanie robotniczy, ja nadal jestem dyrektorem, a pan robotnikiem. Ode mnie zależy, czy pan pójdzie do łopaty, czy też nie. Ukończył pan szkołę średnią. Szkoła ta nie daje żadnego zawodu, tylko przygotowuje do studiów lub do poddyplomowe studium.

— Wobec tego sprzeciwiam się pańskiej decyzji. Skoro pan dyrektor nabięga i przekonuje, że nie mam żadnego zawodu, wobec tego składam podanie o zmianę zatrudnienia...

— O, tak trzeba było od razu!

— Zatrudnienia na stanowisku palacza kotłowego. Mam uprawnienia na wysokopiętne kotły. Tu dyplom i zaświadczenie ukończenia kursu i praktyki palacza kotłowego.

— Tu mnie pan zaskoczył. Ale my nie mamy miejsca dla palacza kotłowego. Jest sezon letni. Sam pan widzi. Oszczędność energii i paliwa. Co i w czym pan będzie palił? Na co nam pański zawód obecnie jest potrzebny? Co innego zimą...

— Ale pan dyrektor stale mnie przekonywał o swej racji. Jestem bez zawodu. Wobec tego zatrudnijcie mnie według zawodu.

— Tu nas pan złapał na haczyk. Dyrektor Bernat i dyrektor Kulkowski zapytali się wzajemnie, czy pan Soltys jest i był dobrym robotnikiem? Odpowiedzieli wspólnie: „Tak!”

— Wobec tego mamy wyjście z sytuacji. Podpiszemy panu zwolnienie z pracy na pańskie żądanie. — Wyjąłem podanie. I zamasyście dyrektor podpisał, co nigdy w zwyczaju dyrektora nie było. Na koniec powiedział:

— Dla pana jest to przestroga. Pa-sarz robotniczy jest zawsze zależny od dyrekcji. On z jej reki je chleb.

Wziąłem podanie. Zaniósłem do kade-rę już podpisane. Teraz muszę czter-nastkę odpracować, zgodnie z polecen-kiem dyrekcji. Jako bez zawodu — łopata i 204 zł na dniówkę z rekompensa-tą. Już nie będę obskakiwał niedziel i wolnych sobót, by nadrobić do planu wyrób lub przerób. Teraz gola dniów-ka. Jednostka w „trzech S” zaczyna się nie mieścić. A przecież zdawał egzamin pisemny z reformy dyrektora. A gdyby tak zdawali z praktyki w kotle reformy?

## Energetyka przyszłości

**W**NIEDALEKIEJ przyszłości głównymi „fabrykami elektryczności” w ZSRR będą elektrownie atomowe z reaktorami na neutronach prędkich. Przemysłowe reaktory tego typu po raz pierwszy na świecie zbudowano w ZSRR. Obecnie w Kazachstanie pracuje szweczeńska elektrownia atomowa o mocy 350 MW. Prócz energii elektrycznej dostarcza ona ciepło do instalacji odsalającej wodę morską. W siltowni bielojarskiej (Ural) eksploatowane jest największe w świecie urządzenie na neutronach prędkich — o mocy 600 MW. Budowany jest blok energetyczny tego typu o mocy 800 MW, zaś projektuje się jeszcze większe urządzenia.

Drugim kierunkiem, który zdaniem specjalistów powinien zapewnić „obfitość” energii elektrycznej, jest synteza termojądrowa. Najbardziej zaawansowane są tu prace w ramach programów „Tokamak”, których idea i wiele fundamentalnych rozwiązań jest autorstwa naukowców radzieckich. Przewiduje się, że przemysłowe urządzenia tego typu pojawią się na przełomie XX i XXI stulecia.

Trzeci kierunek to metoda magnetohydrodynamiczna, zapewniająca bezpośrednie przekształcanie energii cieplnej w elektryczną. Jest ona w stanie podnieść współczynnik sprawności elektrowni ciepłych od 40 do 50-60 proc.

Do zalet elektrowni magnetohydrodynamicznych należy również możliwość uzyskiwania dużych mocy w jednym agregacie — rzędu tysiąca megawatów i więcej. Ponadto silownie takie charakteryzują się dużymi możliwościami manewrowania: w zależności od aktualnego zapotrzebowania na elektryczność obciążenie w takich elektrowniach może zmieniać się w granicach od 100 do 20 proc. Jest to wskaźnik niemożliwy dla zwykłych elektrowni ciepłych. W ZSRR rozpoczęto budowę pierwszego w świecie przemysłowego magnetohydrodynamicznego bloku energetycznego o mocy 500 MW, pracującego na gazie ziemnym.

(ba)



# To-boły piękne dni...

Marta Denys

**W**YJAZD nastąpił z czterogodzinnym opóźnieniem. Pracownik biura przepadł był w Wydziale Paszportowym z listą uczestników wycieczki, a bez pieczątki na tej liście nie sposób było ruszyć dalej. „Pewnie ją zaniósł w ostatniej chwili” — wtrącił ktoś z oczekujących dając tym hasło do przytyków pod adresem biura. Albo będzie chciał wsadzić jeszcze kogoś swojego — dodał odkrywco inny. I miał rację, bo oto ci „swoi” siedzieli już w autobusie i piekli na twarzach raka. „To ja, a nie państwo będę miał dodatkowy kłopot” — zamartwiał się głośno pilot. I, jak przyszłość pokazała, to miał. Na razie zniecierpliwienie rozładowywały sondażowe pytania: „A jak to będzie na odprawach, czy bardzo trzępią? Co, gdzie i za ile „idzie”? A czas wolny, czy będzie?”. No, bo jakże! Wszyscy mają wymianę i każdy „coś” wziął, przecież musi się zwrócić, musi się opłacić! Zgodnie z „telaznym” prawem reżimowej turystyki końca XX wieku. Ktoś pobiegł po jeszcze kilka „Karaków” — mydeł, bo te właśnie „idą” jak woda w Rumuni, ktoś po jeszcze jedną parasolkę.

W mieście Y. dosiadło się dwie trzecie grupy. Od kilku już godzin czekał na spóźniającego się autokar. Otaaczał ich spory tłum odprowadzających ciekawskich. „Popatrz, cholera, ci to nabrali! Ale mają toboły!”. Rozpoczęło się nerwowe ładowanie bagażu, zajmowanie miejsc. Ale najpierw konsternacja: to nie „TAM”? Ano, niel Zaledwie „Nerwosan” — jak nazywają potocznie ten poczdwy autobus, nodem z Sanoka. Trzeszczał więc w wysłużonych już „szwach” ten Auto-son — „Nerwosan”, aż przysiadłszy od ciężaru ludzi i bagażu, ruszył w drogę łęczoną wieloma setkami kilometrów, bynajmniej nie po stole biegnącej. Cztery dni i zarwane noce w samotną stronę, trzy dni i zarwane noce — z powrotem. I tylko jedna kierowca! O celu swej podróży uczestnicy wycieczki dowiedzieli się dopiero w autobusie od pilota. No, bo to jedynym powiedziano, że Malowica,

stanowiąca cel podróży, znajduje się gdzieś nad Morzem Czarnym, innym zaś, że kolo Sofii. Bliżsi prawdy byli ci drudzy, bo rzeczywiście Malowica, wysokogórski kompleks turystyczny w górach Rala, jest kolo Sofii, tyle że to „kolo” liczy ponad setkę kilometrów, coraz wyżej się wspinających, aż na wysokość 1300 m n.p.m. O, wyżej to, niż nasze Morskie Oko!

Wyglądało na to, że większość naszych podróżników krupita tzw. kolia w worku, byleby tylko do Bułgarii. Starali się przecieć o te miejsca tygodniami, zapłacili sporo, ale dokąd ich wysyłano, to i chyba sami nadowcy — biuro turystyczne w mieście X i Y. — sielonego pojęcia nie mieli. I wybrało się to całe towarzystwo jak nad czarnomorskie plaże. Nie uprzedzone i nie zorientowane, byleby tylko do Bułgarii... Nawijał precowicie „Nerwosan” kilometry krajowych jeszcze dróg, by pod wieczór dotrzeć do granicy państwa.

W lesie, już bliżej granicy, nastąpiła ogólnowycieczkowa przebieżanka. Kwieciste suknie pełń zastąpiły dżinsy, nie wszystkie jednak pasujące do figury. Odłożone na wierzchu, prawie do połowy tydek, mankiety spodni świadczyły o ich nieskazitelnej nowości. Panowie czapali w za dużych adidasach i pocili się w „czarnych, jak noc” Parmolatach. Już sam widok tej pierwszej ofiary złożonej na ołtarzu Opłacalności powinien był zmieknąć serca celników...

Medyka. Przystojny wopista, czego w komplementach nie szczędziły mu nasze podróżniczki, skonfrontował szybko dowody z listą uczestników. Środkiem autobusu jeszcze można było przejść. Odprawa celna odbywała się już na zewnątrz, przy dwóch stolikach. Kolejki do nich nie były zbyt długie, ale za to dość szerokie. „Trzebanie” trwało do północy. Poleciano kilkanaście cel, trzy lub cztery odprawy warunkowe. Jak na początek, może być „Proszę państwa, przekraczamy granicę PRL” — sakramentalnie obwieścił pilot. Spojrzanie w lewo, spojrzenie w prawo, i otos „Zdrastujcie”. Pilot ustawił wzy-

stniech według listy. Radziecki pogranicznik uważnie zaczął sprawdzać dowody, porównywał zdjęcia z przesuwającymi się w okienku twarzami. „Wot, sio nie wy!” „Niepodobni! Jak to?” „Wasza fotografia sprzed 20-tu lat, trzeba uaktualnić!” „A wy ostatni raz jedziecie na ten dowód!” Faktycznie, dowody osobiste wielu osób, nie tylko z tej grupy, bywały uszkodzone i niechlujne. Aż wstyd.

Letnia noc okazała się ciemna i deszczowa. Nie było już sensu jechać do Lwowa i szukać tam noclegu. Pozostawiały dwie — trzy godziny odpoczynku w autobusie. Komu udało się wgnieść „przetrzepany” bagaż, ckuł się jakoś w fotelu, bo o wyciągnięciu nóg nie było mowy. O spaniu także. Najpierw jedni chcieli spać, drudzy zaś — przepakowywać się. Kierowca to otwierał, to zamykał bagażniki i choć pilot apelował o sprawne przeprowadzenie tych operacji, ciągle ktoś o czymś przypominał sobie i zrywał usypiającego „na prau” kierowcę do ponownego otwarcia luków. Wreszcie smocje tego dnia zmorzyły wszystkich. Ale nie za długo...

Następnego dnia we Lwowie około wyznaczonej godziny odjazdu zaczęli schodzić się nasi podróżnicy z zakupami. Chodzące kukły, czajniki z gwizdkami, sokowyzymalki, miesorubki i dziecięce rowerki. Kierowca tylko jęknął. Z daleka krzątająca przy „Nerwosanie” wyglądała jak mrowisko. Zewsząd ścigali ludzie z bagażami, to ktoś znowu odrywał się, by wrócić z jeszcze jednym rowerkiem, czajnikiem, miesorubką. Przykład jednych działał na drugich. Wszyscy chcieli mieć to samo, a każdy — jak najwięcej. No, bo przecież musi się zwrócić. Fakt!

Droga ku rumuńskiej granicy ciągnęła się w deszczu i po nie kończącej, zdawałoby się, równinie. Miłane miasteczka i wale migwały bialo-niebieskimi płotami w regionalny wzorek. Nagle zatrzymanie „Nerwosana” spowodowały dojrzone gdzieś na wysławie

„Urządowemu... akordeony. Ostatnie ruble poszły więc na zakup tych instrumentów, czekolad i piwa. W autobusie zrobiło się słodko i skocznie, tylko te nieszczęśliwe akordeony rozwalily się swoimi czarnymi pudłami tak, że już środkiem nikt nie przeszedł.

Oto piękne zakole Dniestru. Zalesszczyki. Niegdyś ziemia i miasto królewskie na moldawskim szlaku. W 1899 roku przebywający tu Jan Kasprowicz napisał hymn „Święty Boże, święty Mocny...” A potem był wrzesień 1939 roku. Ciekawy jest także i współczesny rozwój tego miasta...

Słońce przebiło się wreszcie przez całodzienną chmurę dżdżu i mgły. Jesteśmy na drugim brzegu. Do granicy jeszcze daleko. Po drodze piękne Czerniowce. Ugler alocisty kamienie ciepłe od refleksów zachodu. Mieszkańcy wylegli na spacer. Jakże chciałoby się tu pozostać po drugim dniu niewygodnej i nie przespanej podróży!

Radziecko-rumuńskie przejście graniczne. Przed szlabanem — przeszło 200 samochodów. Wszystkie w drodze do Bułgarii. Kaluże wody wokół wmytych pojazdów, rozłożone stołki i leżaki. W rowach puszdki po konserwach, butelki. Widać, że karawana ta koczuje tu czas dłuższy. Znajany pilot macha ręką, by podjechać dalej. Kolejna „trzebanina”. Tym razem odprawa celna na pieterku. Trzeba wiankać pękate torby, kukły, rowerki i akordeony. No i jeszcze wypełnić deklaracje celne. Wszyscy piszą wszystko, tylko nie to, co trzeba. Odprawa. Coraz to ktoś wchodzi do „kajuty” na osobistą. Wszystkie bagaże przesiewiane. Wypielci na twarzach, bo oto jest pierwsza „kontrabanda” — „Wyciśnijcie, to” — nakazuje celniczka — i delikwent wyciska trzy tubki kremu do golenia. Krem pieni się, celnicy śmieją. Och, gdyby z jego zapachem „uolotnić” się chciały ukryte tam złote pierścionki! Korek od termosu też wzbudza podejrzenie. Prześwietlony raz jeszcze idzie pod mlotek. W odlamkach szkła — obrączki. Na nie się adła folia — nieprzepuszczająca ponoć promieni. Pani w za dużych dżinsach wychodzi z „kajuty” czerwona, jak burak. Zdjęć tam musiała przymocowane do tydek gumkami od wecków — okulary słoneczne... Mają ludzie pomysły!

Młodemu człowiekowi też utżyło, szczególnie w butach, kiedy z obcasów wydobyto... ruble. Nie wydał ich ani na akordeon, ani na czekolady, ani na piwa. Nie wiódł też żadnej chodzą-

## Bez rozgrzeszenia

**W**AKACJE dobrze zrobiły Danielowi Passentowi. Nieźle też pokrzepiły KTT — jego sąsiada z dołu na ostatniej kolumnie „Polityki”. Szczególnie dziarsko wyszedł z sezonu ogórkowego Passent: wydłuty tekst, zaostrzył wzrok, wzmocnił cios, przy tym lekroć on wydzista krok, wówczas KTT kurczy się; w sumie jednak tworzą duet obszaru zgrany. Sekret tej zgody wygląda chyba tak: w poniedziałek Passent dzwoni do KTT: „Słuchaj, w tym numerze lecę na sześć stron maszynopisu, streszczaj się”. I KTT streszcza się, ale nie na tyle, żeby popaść w uwiad. Ten przesympatyczny nudziarz pociągnie (swoją rubrykę) jeszcze długo, może dłużej niż kolega z góry, któremu ostatnio coś jakby zaczęło brakować weny, więc nadrabia gadulstwem i napastliwością. Toteż od jakiegoś czasu wołę Passenta jako Jurora konkursów Miss Polonia i piosenkarskich festiwalu, niż jako felietoniste, a było i powinno być inaczej.

W numerze z 29 września br. agresywność Passenta osiąga pełnię. Tym razem rzucił się na nas wszystkich, na jakieś 20 milionów Polaków, plus minus 20, bo łaskawie wyłączył z anatemy górników, hutników, pilotów, chirurgów, włóknianki oraz, rzecz jasna, samego siebie, nie podlegającego ocenom tytana pracy i prasy, zajętego ostatnio zajadłym tropieniem naszych wad narodowych.

O cóż chodzi? O to, że oprócz przedstawicieli wymienionych zawodów jesteśmy nieroby oraz obiboki i to jest największym nieszczęściem reformy i narodu. Przytomnie wtóruje mu sąsiad z dołu, czyli KTT, zastanawiając się długo, zawile i głęboko, dlaczego my, Polacy, jesteśmy tacy niewydarzeni, skoro nie możemy dorównać nawet Bułgarom czy Węgom.

Powakacyjnie odświeżony i naładowany jak nowiutki akumulator, Daniel Passent wali nam prosto w oczy: jesteście nieroby! Wy tylko symulujecie robotę! Pracę traktujecie jako posadę, a posadę jako konstytucyjny przywilej socjalizmu! Praca febrze i lasi się z nie kończących się kolumn ogłoszeniowych, lecz chętnych brak. Przy takim stosunku do roboty najdoskonalsza reforma ma u nas niewielkie szanse!

Passent jako pierwszy spowiednik narodu niechętnie udziela rozgrzeszenia. On tylko łaskawie wyłączy z kłutwy pewne, tradycyjnie pracowite grupy zawodowe, lecz rozgrzeszenie totalne otrzymują jedynie bieliczni, imiennie, z prywatnej listy Passenta są to tytani na miarę Herberta, który „powinien otrzymać 20 razy więcej za linijkę niż jakiś zasłużony wierzozkoleta, Hamilton powinien otrzymywać za felieton wielokrotnie więcej niż...”

No właśnie — nił kto? Daniel Passent i to wyjątku: nił ten, kto „się obrazi, zasypie małe stekiem obelg i odwoła się do najwyższych władz”. Proste? Tak, a na dodatek sprawiedliwe — kto się obraża na spowiednika,



Rys. Adam Lep

ten na rozgrzeszenie i na godziwą zapłatę, równą Hamiltonowej i Herberciowej, liczyć nie powinien!

Passent sięga głęboko, po etos i etykę pracy, by stwierdzić, że u nas wic takiego nie istnieje. Gdzie okiem sięgnąć, wszędzie panoszy się pogarda dla pracy, obrzydliwe, karygodne nierobstwo!

Kaznodziejska infekcja natychmiast przenosi się na KTT, który wtóruje koledze z innej beczki i może dlatego jego głos brzmi szczególnie głucho, kassandrycznie. „Nie chodzi tu o narodowy masochizm, o wmawianie sobie, że jesteśmy gorsi, gorzej zorganizowani, mniej inteligentni i dojrzałi niż nasi sąsiedzi, mając do dyspozycji kraj w sposób naturalny bogatszy”.

Jeżeli nie o to chodzi, to znaczy o wmawianie „sobie”, to konkretnie o co? Kto nam to wszystko wmawia? Czy ktoś wmawia KTT, że jest mniej inteligentny niż statystyczny Bułgar czy Węgier? A może to tylko KTT sobie i nam wmawia, że ktoś nam wmawia? I po co? Czy po to, aby mieć okazję do polemik z nie istniejącymi wmawiaczami? Z g... bicza nie ukreć, powiada nadwisiańskie porzekadło, podobnie z rzekomych przywar narodowych, z poboznych życzeń branych za rzeczywistość nahajki na tajemniczych wmawiaczy też nie uwije.

Powiada Passent, że mamy pod ziemią całą tablicę Mendelejewa, a mimo tego żyjemy cienitko. Ano fakt. Depczemy po węglu, siarce, miedzi i innych specjalach, a żyjemy jak na lodowcu. Dlaczego?



cej kukły, miesiorubki, sokowytymalki. Spisywanie protokołów przeciagnęło się do późnej nocy.

Tej nocy nie dane nam było dotrzeć do rumuńskiego hotelu. Prawie 500 kilometrów drogi odprawa celna, nieprzewidziane przestoje. Na próżno pilot niezmordowanie tłumaczył że przejazdy, jako tranzytowe, obliczone są na jazdę non stop, z krótkim tylko posiłkiem. Grupa wiedziała jednak „swoje”.

Cieężko się jedzie nocą po rumuńskich drogach. Kilometry i nazwy miejscowości, jakby na złość jadącym, kryją się na poboczu drogi. Jeżeli jest wysoka trawa lub krzewy, trudno je odczytać z niewysokich słupków, które raz postawione są po prawej, a raz po lewej stronie drogi. Trzeba przystawać, podchodzić do słupka i sprawdzać. Z rzadka też rozmieszczone są główne kierunkowskazy. Jeździe nie sprzyja też zmęczenie i ciemność. Lecz co robić? Nasz „Nerwosan” prowadzi tylko jeden kierowca. Jego ofiarność graniczy jednak z wielkim dla wszystkich ryzykiem. Byłe dojechać, byle odwalić ten koszmarny szmat drogi!

Wreszcie Bukareszt. Po drodze „pie-repalki” z talonami i tankowaniem paliwa. Ponoć to „normalka”. Krótka noc w dobrym hotelu. Rankiem charakterystyczne torby „napoleonki” migają wśród bukareszteńskiego tłumy. „Kenty?” „Biseptol?” „Okulary?” „Parasolki?” „Cit-costă?” „Cinci sute?” „Nu, patru sute?” „Czteryście lei? W zyciu!” „Wie pani, tam na Lipskiej ulicy jest haftowana pościel. W „Unirei” są śpiwory i wełniane narzuty! Panie kierowco, pan podwiezie do tego sklepu, gdzie są „mięte” sukienki...”. I znów wszyscy chcą mieć to samo, co sąsiad, tyle że więcej. Zakupy mogą tu trwać w nieskończoność, bagaże zdają się niewyczerpane, a rynek chętny i chłonny czegoś...

Przed granicą znów przepakowywanie i przebieżanka. „Panie pilocie, a puszcza nam te adidasy — rumuńskie? A podkoszulki i ręczniki frotté? A koce?” Od tej chwili siedzi się naszym podróżnikom wyżej i miękcej. No i jeszcze ciśnie. Przesła Mostu Przyjaźni na Dunaju. Coraz to ciepiej. Południe. W kolejce do odprawy idą najpierw TIR-y tureckie, szwedzkie, RFN-owskie, a potem nasz „Nerwosan”. O, dziwo! Ani Rumunów, ani Bułgarów nie zainteresowały zbyt wiele wyścielane miękko ręcznika-

mi, kocami i podkoszulkami fotele, ani akordeony, ani kukły. Bo, gdyby znów trzeba było wynosić to wszystko?

Och, jakże smakuje zimny Szwepa i Szumensko Piwo! Patrząc, ananasy w puszkach! I „Słoneczny Brzeg”! Rzeczywiście — słoneczny brzeg naszej podróży — Bułgaria Tutejszymi szosami leci się, jak po maśle. Przydrożne wodopoje gaszą pragnienie krystaliczną wodą. Plantacje winogron, papryka. Osiółki. Zupełnie inny krajobraz. Do Plewen — zdradliwy płaskowyż — niby równo, a pod górkę. Nie pociągnie szybko. A tu jeszcze Sofia, dwa pasma wysokich gór, których już nikt — prócz kierowcy i pilota — nie widzi. Wszyscy śpią, a „Nerwosan” piluje. Coraz to wyżej i coraz wolniej. Ktoś później powie, że to celowo wolniej, bo kierowca i pilot „kombinują” tak na paliwie... Góry. Im dalej w noc tym zimniej. Serpenty, a dołem kaskady potoków. Słychać je nawet poprzez szum silnika. Na zboczach coś białego. Śnieg? O, rany! A miała to być czarnomorska plaża... Droga kończy się dokładnie pod hotelem o tej samej nazwie, co i miejscowość — „Maliowica”. Światło w recepcji, czekają na nas. Bułgarski pilot wita — jak może najcieplej, bo w hotelu równie chłodno, co i na zewnątrz. A może to takie złudzenie po rozgrzanym i ciasnym autobusie? Hotel okazuje się jedynym w całym kompleksie turystycznym. Ma dużą salę restauracyjną z orkiestrą, dwa dzienne i dwa nocne bary, dyskotekę, a nie opodal — herbaciarnię i alpejską szkółkę dla wspinaczy. Po rozległej dolinie skąd cudowny widok na ośnieżone góry — cwałują małe zwinne koniki. Doważą one zaopatrzenie do odległego o godzinę drogi schroniska. Pasą się barany. Nad potokami kwitną ostatnie kaczęce i krokusy. Gęstnieje i zielenieje kosodrzewina. Trochę brak pogody, ale na niedaleki spacer w góry — może być. Rano nasi podróżnicy łapią się za głowy! A co my tu będziemy robić? Dokąd nas przywiezie? Skandal! Rzeczywiście, bez odpowiedniego, turystycznego obuwia i ciepłej odzieży niewiele tu można zwojować. Kto o tym wiedział? A nawet gdyby, to ilu by było chętnych na górski szlak? Kilka osób zwiedziło co dostępne zakątki. Wszyscy jednak zjeżdżali na cały dzień do pobliskiego miasta Samokowa. Podobno, jak zachęcał pilot — słynącego z oryginalnej bułgarskiej architektury. Drewnianej, polichromowanej. Zainteresowaniem cieszył się jednak meczet, bo... stał naj-



Rys. Adam Leg

bliżej dworca autobusowego. No i sklepiki, na które narzekano, że nic tam nie ma ciekawego. Dziadostwo. Jedynie włochate narzuty z metra ratowały sytuację. Lecz i tak brzydono na wszystko — wyżywienie, obrusy, że czerwone a nie fioletowe jak u czeskiej grupy, na cytrynę, że do herbaty i psuje smak. Jak to było, trudno dociec — ale miejscowi „bajali” coś o tym, jakby „nasi” wędrowali po okolicznych wsiach z towarem — od domu do domu?...

Któregoś dnia — skrzyknął pilot chętnych na wycieczkę do Borowca, takiego bułgarskiego Zakopanego. Owszem, stawiło się 10-12 osób z dość wypchanymi torbami. „A państwo — dokąd z tym towarem? Będziemy przecie jechać kolejką linową dość wysoko, po co się tak obciążać?” Na wszelki wypadek — odpowiedzieli ochoczo. Do stacji kolejki doszły już tylko dwie osoby i pilot. Do Sofii pojechali natomiast wszyscy, ale na zwiędzenie znów zabrakło czasu. Do Maliowicy był jednak kawałek drogi: i w kilometrach i w czasie. Sofijskie zakupy również nie okazały się rewelacyjne. Cała nadzieja pokładana była w Debrezynie dokąd wiodła dalsza, tym razem powrotna już droga. Z kolej-

nym 700-kilometrowym przejazdem w jeden dzień z owej Maliowicy, przeprawą promową na Dunaju aż do Timosoary w Rumunii. Droga ciągnęła cygańskie tabory: z pobielonymi kotłami na kabłąkach wozów, niedźwiedziami, muzyką i chmurą pstrokatej dzieciarni. Małe koniki uporczywie dążyły naprzód. Podobnie jak nasz „Nerwosan” — znikające punkty odwiecznie spalone o słońcem krajobrazu, pszeno-kukurydzianego aż do Oradei. Dalej rozciągała się już węgierska puszcza.

Aby wysiąść z autobusu, trzeba było najpierw wynieść pół wozu zwiniętych w bele narzut (tych z metra), akordeonów, rowerków, spęczniałych toreb i pakunków. W czasie jazdy zastaniały one tylne i boczne szyby wozu.

Celnicy kręcili już tylko głowami. „To-boły piękne dni”. Lecz czy warte aż takiego wysiłku, spuchniętych nóg, zarwanych nocy, spórego przecieży wydatku? — odpoczynek i wrażenia, te, które się wspomina? Coś z krajobrazu, coś z historii? I one straciły już na wartości? Jakby w myśl żelaznego prawa rodzimej turystyki końca XX wieku — oddając pierwszeństwo rzeczom materialnym.

Passent odpowiedź ma gotową, jedyną, miążdzącą: ten Mendelejew to dodatkowy dowód na to, że źle pracujemy. I sypie przykładami. Przykłady wprowadzić nie wychodzą nigdy ze śródmieścia stolicy, zza sklepowych koutarów i kawiarnianych stolików, ale niech tam, w końcu niejaki Proust machnął „W poszukiwaniu straconego czasu”, prawie nie wychodząc z mieszkania. Oto kelner z „Niedźwiadka”, gdzie Passent spożywał lunch, odpykuje gościom i głośno grozi, że się zwolni. Bułki, które kupuje Passent, nie są „białe jak kreda i w ogóle [są — HP] nie dopieczono”. Sklepowy zamka będą przy byle okazji i ani mu w głowie, żeby na ten czas postawić za ladą żonę czy syna. W biurach telefony urywają się od prywatnej paplania, a w ogóle to każdy, kto może powiedzieć o sobie, że uczciwie przepracował w ciągu dnia 3-4 godziny, może uchodzić za stachanowca.

Pomysł płacenia „wielokrotnie mniej” każdemu, kto śmie nie wierzyć i obrazić się na pierwszego spowiednika 20 milionów, jest zgodny z duchem reformy, a przy tym tchnie ewangeliczną skromnością. Jeżeli ani Passent, ani KTT mimo wszystko nie mieli „na myśli” tego, że naszą cechą narodową jest niezniszczalne nierobstwo, bałaganiarstwo, i ościeżność umysłowa, to są chyba winni tym plus minus 20 milionom odpowiedź na takie oto pytanie: dlaczego ludzie źle pracują i czy dlatego kiepsko im się wiedzie, choć tablica Mendelejewa ściele się u ich stóp? Jeżeli Polska jest Kuwejtem północy, a Polacy mimo wszystko dwukrotnie szybciej machają łopatą niż tamci, to dlaczego ta Polska nie jest jednak Kuwejtem?

I kilka pytań pomocniczych. Czy Polacy pracują tyle, ile im się płaci, czy płaci tyle, ile pracują? A może więcej pracują? A może mniej? Czy nierobstwo Polaków jest spontaniczne, narodowe, czy „zorganizowane”? Jak się ono ma do prawa pracy i płacy? Dlaczego w tym kraju jest ostry deficyt posad, a tak mało cieśli, murarzy, pielęgniarzek?

I pytanie do KTT: co wynika z faktu, że „Węgier idąc ulicą ze swoimi forintami w kieszeni ma dookoła siebie praktycznie wszystko, co należy do wyposażenia nowoczesnego społeczeństwa konsumpcyjnego...”? A co wynika z faktu, że Polak, idąc ulicą z kieszenią wypchaną złotówkami, dookoła nie widzi nic lub prawie nic z tego, co jest potrzebne do „wyposażenia nowoczesnego społeczeństwa konsumpcyjnego”? Czy nie to, że jadą na jednodniowych szkapach, z tą jedynie różnicą, że szkapą węgierską jest strojna w czaprak z frędzlami i nie znać jej gnatów?

Podobno na swoim, prywatnym, każdy gotów tyrać dzień i noc, a na państwowym obija się. To kto w końcu odbudował i zbudował tę Polskę powojenną, przecie nie Węgrzy ani Kuwejczycy? Jak trzeba sukcesami Polski Ludowej pochwalić się przed światem, to Passent będzie pierwszym doboszem sukcesu czterdziestolecia, ale jak zapytać, dlaczego nie jesteśmy drugą Japonią, to odwraca palce grubymi końcami i wali: nieroby!

Felietony Daniela Passenta są nasze, wspólne i choć należą do sfery usług nie przysparzających ani kostki masła, ani kilograma mięsa, to jednak mają jakąś starannie przez ich autora wyliczoną cenę, dość wysoką, bo pozwala mu ona czuć się innym niż 20 milionów ludzi pracujących na pół gazu. Z grubiaństwa kielnera w „Niedźwiadku” należy wnosić, że uważa się on za człowieka tyrającego na pełny gaz i dlatego ów gazmajster czuje się nie doceniony albo nie dopłacony, co oznacza to samo, a więc podobnie jak Passent zna swoją cenę i obaj jako ludzie przepracowani coś komuś odburkną, z tą wszakże różnicą, że w „Niedźwiadku” jeszcze nie biją z mańki, nie przykładają z fleka, nie walą bykiem, jak nie przymierzając tu i ówdzie, co łatwo udowodnić za pomocą ankiety czy społecznej konsultacji.

Henryk Pajak

## Kajet literacki

# EKLEKTYZM AWANGARDY

TAK zwana awangarda trwa już to lat z okładem i jest bezczerna starucha, która wciąż opowiada nam niestworzone historie o swojej pikantnej młodości. Reguły różnych „izmów” kolejnych pokoleń wymieszały się ze sobą i stanowią coś w rodzaju jaszczowych evergreenów, które zawsze można wsadzić do jakiejś pierwszej lepszej melodijki. Kto tylko chce, wybiera dowolne przesady i dalej uchodzi za awangardystę, takiego samego jak tego żądadunio czy oradziadunio.

Oto pare przykładów z tej długiej listy przesadów. Wiersz nie może być rymowany. Kto tak zdecydował? Pełper? Przybos? Wielkie nieba! Rym jest po prostu wspólnym elementem dźwiękowej strony wiersza. Rym właśnie sprawia że wszystkie pomysły poetyckie naberają mocy.

Artyści współczesni bardziej starali się być domorosłymi filozofami niż poetami i dlatego usiłują wygonić poetów z idealistycznego państwa Platona. Między filozofia i sztuka poetów iako od dawna są niesnaski — powiada Platon. Konkluzja jest znana, poetów trzeba przegonić. A zrobić to mają filozofowie. W tym celu wprawdzie należy nauczyć poetów belkotu. Pociągławy Raymond Chandler słusznie pisze, że zagmatwana frazeologia uwielbiają pisarze bedacy właścicielami literackimi eunuchami: „ten typ umysłowości utrzymuje przy życiu di- smu awangardowe”.

Następny przykład z brzegu przesad to degradacja słowa i aktora w teatrze. W pantomimie nigdy nie było słów. Degradowanie teatru do pantomimy nie jest żadną wielką reformą, tak jak reforma teatru nie byłoby ograniczenie wszystkiego do wymiarów farsy czy estrady. Poza tym mniej słów wcale nie oznacza mniejszej ilości banalów. Są to tylko banały przekazywane za pomocą sztucznej scenograficznej i akrobatycznych. Zresztą niemy spektakl też nie może oderwać się od słownego banału, którym czestują nas recenzenci, apologety i sami twórcy chętnie naplatający o swoich rewelacyjnych pomysłach, manach dobrze od wicków a wciąż pozorujących nowość.

Sama nazwa awangardy zapowiada, że coś jest na czele, że coś czy ktoś tworzy awangardę, a nie stragardę straż tylna. A jak wygląda praktyka? Produkcja awangardowa jest obecnie produkcją masową, standardową. Jeszcze raz powróćmy do teatru. W roku 1926 warszawscy aktorzy zbuntowali się, gdy mieli grać jedną ze sztuk Witkacego. Sprawa była bardzo głośna, długo dyskutowano w prasie o styce zawodu aktorskiego. Dziś Witkacego gra się jak Fredre.

Reguły typu „miasto, masa, maszyna” brzmią dziś już tak jak „Kinder, Küche, Kirche”. Tymczasem naprawdę nowych pomysłów i koncepcji nie ma. Awangarda nabrała cech pseudoklasycyzmu. A to już zapowiedź końca. No i dobrze. Eklektyczna bezkształtna noko w sztuce zawsze wylała pierwsze próby konstrukcyjne nowych systemów estetycznych. Dlatego właśnie dzieł awangardowe skłóciły najbardziej przynajmniej biedermeier, albo styl opery naryskiel, czyli bardzo przypomina ostatnie, przedawangardowe pokolenie dziewiętnastego wieku.

Prawdziwym klasykiem tego pokolenia awangardy w literaturze światowej jest mój przyjaciel, Józef K., autor dzieła zatytułowanego „Antologia”. Dzieło ma formę i wymiary potężnego naprawde estetycznego albumu przedwojennego firmy produkcyjnej tanety. Do tego albumu Józef K. wkleja różne dowolne i przypadkowe wycinki z prasy krajowej i zagranicznej. Czasami wkleja też komentarze pisane wolańskiem własnego pomysłu. „Antologia” przetrwała się nawet z zainteresowaniem bowiem wycinki starych gazet mała w sobie coś intrygującego. Tapety w nie też demonstrowała różne esy floressy lat dwudziestych. Para tym taka antologia może sobie wydać każdy, jest więc to dzieło dla każdego. Nic z tego nie wynika i to ma być metafora.

Janusz Olezak



**N**A stole kartka: „Odeszłam”. Bez podpisu i tak wiadomo. Oprócz niej, kto miałby odesłać? Odeszła i myśli, że wszystko, ze sobą zabrala. Nie tylko swoje rzeczy, ale wszystko, wszystko. Do domu. Najważniejszego nie zabrala nigdy nie zabierze — wspomnienia o sobie, i teraz, gdzie by nie była i kim by nie mieszkała wszystko jedno — jest tutaj! Tutaj, i nikt nie potrafi wymazać ciebie z mojej pamięci. Nikt! Wiem, pamiętam! Przyszła do tego pokoju cicha, trochę oniesmielona, żebym jej czegoś nie zrobił. No przecież — przyszła do mężczyzny. Jesteśmy dwoje w mieszkaniu. Nieraz bywa...

— No? wejdź. Dlaczego się zatrzymujesz?

I weszła do tego pokoju. Obrzuciła wzrokiem ściany. Na nich moje obrazy, które lubię. Brzoźki, łąki, niebo, wiatr.

— No, jak? — skinienie w stronę obrazów.

— Mnie się podobają.

— No, to pięknie. Kawy, herbaty?

— Nie trzeba niczego.

— No, jak to niczego? Weź przynajmniej jabłko.

W wazie leżały także grusze, a na wierzchu kiść winogron. Specjalnie dla niej kupiłem. Dla mnie to wystarczyłyby i dwa jabłka.

— Posłuchamy muzyki?

— Nastaw...

Nieśmiała taka — ciągle się boi, że ją złapie i zacznie całować. Siedzi, kolana ścisnęła, jabłko trzyma dwiema rękami. I patrzy nie na mnie, a na ściany. Szuka czegoś w moich obrazach. Czego? Dobry jestem, czy zły? Nastawiłem muzykę pop.

— Zatańczymy?

— Jeśli chcesz.

— I czego ty się boisz?

— Niczego się nie boję! — a oczy ma jak spłoszona gazela.

— No, to pięknie.

I zaczęliśmy tańczyć, zwierzać się. W tej dziedzinie nie ustąpię i młodym.

— Ładnie u ciebie — powiedziała, kiedyś już siedzieli. — Gustownie mieszkaś.

— Staram się.

— Myślałam, że u ciebie całkiem inaczej. Tak jakoś myślałam, że masz nowoczesne mieszkanie, a ty mieszkaś w starym domu.

— W starym, ale pięknym. Cicho tu. Wiesz, jakie ściany? Półmetrowe. One tyle się nasłuchwały, tyle widziały przez te lata, że wystarczyłyby na niejedną powieść.

— Mówisz o nich jak o żywych.

— Bo one są i żywe. Wszystko żywe i ściany też. No, nie tak jak ja z tobą, ale jak papier fotograficzny. Utrwalają. Coś nie coś, na nich zostaje. Nie bywa tak, żeby wszystko się odbijało.

— Dlatego to jest okropne — powiedziała z uniesieniem.

I zrozumiałem: nie chciała, żeby ściany wiedziały o niej, zostawiły na sobie jej ślad. Tego wieczoru odeszła wcześniej. Zegnając się nie podała ręki.

— Odprowadzić cię?

— Nie, nie, nie trzeba.

— Przyjdiesz jeszcze?

— Nie wiem.

— Jeśli zechcesz, zadzwonię, będę zadowolony.

Przyszła. Nie nagliłem uczucia. Było już dawno dla niej gotowe, ale nie chciałem, żeby się skalalo jakimś grubianstwem z mojej strony. Czekalem, kiedy Inka sama odpowie mi pełną wzajemnością. A ona była z początku nawet zadowolona, że jestem taki „dobry” — tańczy, częstuję kawą, żartuję, śmieję się, odprowadzam. Ale kiedy zobaczyłem w jej oczach zdziwienie. Jakby pytała: „Nie rozumiem, czy nie kochasz mnie, lub nie jesteś mnie pewny?”. Zrobiłem wrażenie, że nie rozumiem jej pytającego spojrzenia. Odnosiłem się do niej jak do tychczas. Zależało mi na tym, aby później, kiedy będziemy już razem, nie było z jej strony jakichś wyrzutów, że ją siłą zmusiłem do bycia razem. Nie nie w tym wypadku niech już ma żal do samej siebie, jeśli się coś zdarzy. Nie chciałem jednak, aby między nami zaszło coś przypadkowego. Pragnąłem trwałego, długotrwałego związku, chociaż rozumiałem, że różnica wieku jest ogromna. Czekalem i doczekałem się.

Pewnego razu, gdy wytęńczywszy się, siedzieliśmy na tapczanie i całowaliśmy się, powiedziała:

— Dzisiaj zostanę u ciebie.

— A mama?

Zapytałem dlatego, gdyż ma dopiero dziewiętnaście lat, a ja pod czterdziestkę. Na dodatek byłem rozwiedziony. Co jak co, ale nie chciałem być uwodzicielem.

— Mama? — Ze zdziwieniem spojrziała na mnie. — A po co tu mama? Zostaje z tobą na zawsze. Chyba, że nie chcesz?

Radość moja nie miała granic. Owoc dojrział i spadł. Ale niepotrzebnie tak triumfowałem. Została ze mną, ale nie na zawsze. Prawda, przeżyliśmy już nie tak mało — ponad dwa lata. Ale mimo wszystko, widocznie zbyt duża była różnica wieku. Często się to uwidoczniło. Nie wzbierała się nawet przed zabawą w berka. Ale jak ja mam sobie pozwolić na taką zabawę? Stałem, patrzyłem. A trzeba było się bawić. Lubiała wesołe młodzieżowe towarzystwa, a mnie nie chciało się w ogóle z nimi przebywać.

— No, co z tobą, czego nie chcesz, no? — ciągnęła mnie za rękę do gru-

czyło, ale ona była zbyt piękna. Każdy człowiek a szczególnie artysta ma swój ideał piękna. A ona była wcieleniem mojego. I owal twarzy, i wydłużone oczy jak u Egipcjanki, i zaokrąglone ramiona, i wargi z podniesionymi do góry końcami, i zgrabność. Słowem, wszystko, wszystko! Zapomniałem, że mam pod czterdziestkę, a ona jest jeszcze całkiem dziewczynką, i nie pomyślałem o tym, że przyjdzie, na pewno przyjdzie taki dzień, kiedy ode mnie odejdzie.

Nie, co by tu powiedzieć, życie wybiera sobie tych, których chce albo ukarać, albo uszczęśliwić. Mnie mimo wszystko uszczęśliwiło. Gdybym miał dziewiętnaście nie bym nie zrozumiał, nie docenił ale oto, gdy zbliża się czterdziestka, kiedy pojąłem, że „nie mogę być więcej młody”, wte-

By przypodobać się, zaczęła przygotowywać obiad. Wówczas przynosiła mi z kuchni domowej. Sama zatem gotuje zaow. nazw kotlety. Przy- palą się — płacze niemal prosi o wybaczenie.

— Ależ co ty, no, jak ci nie wstyd? A pluć na to wszystko. Kupowaliśmy wcześniej w garmatarni, to i teraz kupimy.

— Nie, nie, chcę ci sprawić przyjemność...

A później odeszła. Odeszła! — Masz swój świat żyjesz nim. A ja z innego świata.

Nigdy bym nie pomyślał, że ona może wymyślić takie słowo — z innego świata ale wymyśliła i znikła. Przy czym nie od razu. Rozmówiłem się, uprosiłem ją, by nie odchodziła.

## Ściany wiedzą

Siergiej Woronin

py. Ale nie mogłem brać udziału w ich zabawie. Wiadomo, czterdziestka to nie taki już wiek, żeby uważać się za starca, ale to zależy — na jakiej płaszczyźnie. W jej towarzystwie byłem starcem.

Jest kategoria ludzi dojrzewających wcześniej. Należę do niej. Mając lat czternaście już wyglądałem jak całkiem rozwinięty chłopiec i popatrywały za mną dziewczyny dużo ode mnie starsze. A jedna młoda kobieta nawet mnie zaczepiała. No, i naturalnie, wcześniej musiała przyjść i dorosłość. I przyszła. A teraz można mnie już zaliczyć do kategorii ludzi starych, co też czynią koleżanki Inki. Zawsze, gdy łowię na sobie ich zdziwione spojrzenia, robi mi się nieswojo. Pośpiesznie wychodzę, to znaczy robię niewybaczalne głupstwa. Należałoby nie wychodzić, a bawić się z nimi, śmiać się, rozweselać je, być takim, żeby mówiły Ince: „No, ale masz chłopca! Z takim z nudów nie umrzesz”. Wtedy ona pokiwalaby dumnie swoją główką: „Tak, widzicie jakiego mam!” Ale ja wychodziłem i kiedy spotykałem Inkę, zaczynałem klamać, że mnie opanował niepokój twórczy i pobiegłem robić portret Iwana Demianycza. No, tego samego dziadka, który mieszka na brzegu za lewem. Poszedłem, a on, jak się okazało, na rybach.

— A mnie było bez ciebie nieciekawie. Wyszedł. Myślę: dlaczego ty tak postępujesz? Jeśli chcesz, wstąpimy razem do Iwana Demianycza. Może przyszedł.

— Czyżby? Poza tym już się wypaliliem. To nie, może innym razem. Coraz częściej zabierałem szkiełko i wychodziłem z domu. Było to najlepsze, co mogłem wymyślić. A Inka wychodziła ze mną.

— Czy ci nie przeszkadza?

— Nie, co ty... Jeśli nie byłoby ci przy mnie, nic nie przysłoby mi do głowy.

— Tak mocno mnie kochasz?

— Tak, być może na swoje nieszczęście.

— Nie mów tak.

— Dlaczego?

— Dlatego, że zacząłem płakać. — I rzeczywiście, w jej oczach pojawiły się łzy.

Studiowała na Akademii Górniczej?

— Dlaczego na Akademii Górniczej?

— zapytałem ją jeszcze podczas pierwszego spotkania.

— Ze względu na miejsce zamieszkania, blisko.

— A dlaczego spotkałem cię na wystawie? — Było to w Maneżu podczas jesiennej wystawy obrazów malarzy leningradzkich.

— Dlatego, że lubię malarstwo. A czy pan jest artystą?

Gdybym powiedział „nie” — byś może na tym wszystko by się skończyło.

dy zaryczałem jak byk w rzeźni. I pozwoliłem sobie na to, co jest naganne, co uważa się za niemoralne. Stąd wzmógł ból, gdy ona z młodzieżą, a ja biorę szkiełko: opanowała mnie, widzicie, wena twórcza. Zstąpiła i nie mogę zajmować się drobnostkami. W ten sposób jakby okryłem się togą pewnej tajemniczości. Otóż — artysta! On nie ma czasu zajmować się „głupstwami”. Cały w ogniu tworzenia! Nie podchodzi do niego, on myśli! Myśli obrazami... I dlatego ona, Inka, siedzi w cieniu pod krzakami i chociaż ma w ręce książkę, nie czyta jej, nieprzerwanie patrzy na mnie, tworzącego, pracującego nad dziełem! Bywają, że odechodzę od szkiełkownika i przymrużywszy oczy — także rzucam spojrzenie na pociągnięcie pędzla, spojrzenie geniusza — to znowu gorączkowo zaczynam mieszać farby. I pociągnięcie, drugie, jeszcze i jeszcze! I znowu odejście i przymrużenie. A wszystko po to, żeby zrozumiała jak tworzy się arcydzieło. Tylko tak, w natchnieniu.

— Jaką miałeś natchnioną twarz! Jak ci oczy pałały!

Chwała Bogu, ona to lubi we mnie.

No, ale jakże można lubić fałsz?

Tak trwała gra. Później nieoczekiwanie wyszło na jaw: tak, o Boże, cóż ja czynię? Tak przecież nie może być. Sprzykrzy się. Trzeba dziewczynie dać coś tam jeszcze. Niech pozna życie. I zacząłem ją wozić po restauracjach. A jakże, oto jak wspaniale żyją artyści. W lokalu wszystko jest inne. Tam nawet różnica wieku jest przyjmowana inaczej. Jest w tym pewien syzyk: ojculek z dziewczynką. Nie osadzają — niczego sobie, można. I mimo wszystko, dla mnie i tu stała się oczywista różnica między nami. Dla niej wszystko było czymś niezwykłym, a dla mnie to „wszystko” było już dawno znane, jeszcze z czasów tamtej, mojej pierwszej.

— Ależ, cóż ty? — mówi. — Co z tobą? Czy dla ciebie nie jest to interesujące? Patrz jak ona śpiewa...

— Ależ nie, bardzo ciekawe, lecz rozumiesz — i znowu po swój środek zbawienny — jestem teraz wypełniony, właśnie wypełniony, a nie zajęty, pewną kompozycją. Rozumiesz, sztuka bezustannie żąda ofiar. Do prawdziwego twórcy przychodzi nieoczekiwanie. Zmusza do wyskakowania z pościeli w środku nocy i pędzenia do sztalugi... Otóż i teraz patrz na piosenkarkę, a widzę całkiem coś innego...

— Dobrze, dobrze, nie będę przeszkadzał...

I coraz bardziej oddalała się ode mnie. Żeby nie przeszkadzać. A była coraz pokorniejsza, kiedy przychodziłem do niej. Lecz i obojętniejsza.

— Żyję tylko dla ciebie! Ty jesteś taki, taki... — i nie znajdowała słów.

— Nie zawsze tak ze mną bywa. Zdarza się, że tak wymaguje, że puści się robi na duszy — Przebrałem, przebrałem, dureń! Trzeba teraz wycofać się. — Depresja, rozumiesz. I wtedy ty, tylko ty... Ty jesteś moim ogniem! Tobą płonę!

Czego wtedy nie plotłem, żeby tylko została. I najbardziej już chyba głupio — zacząłem grać z nią w kometkę. Oczywiście nie ma w tym nic strasznego, gdy gra ojciec z córką. Na twarzach przyglądających się pojawiają się miłe uśmiechy. Patrzcie, powiadają, jaki suchy ojciec, nie ustępuje córce zręcznością. Ale tutaj łowiłem całkiem inne, nie, nie uśmiechy, a uśmieški. „Stary kozioł i tu się jeszcze pcha!” Usłyszałem to od jednej wyschniętej jak mumia starej kobiety. I wszystko, i mrok! Nie pamiętam jak się opanowałem, żeby nie rzucić rakiety. Zrobiłem wrażenie, iż nie dosłyszałem, tylko spojrzałem na Inkę: jak to przyjęła? I ona skierowała na mnie swoje powłóczyście spojrzenie. Spotkaliśmy się wzrokiem i rozbiegli — jakbyśmy nie słyszeli, i ani słowa do siebie. A przecież słyszeliśmy...

Kucharka była niedługo. Znudziło się. Zaczęła grymasić. Rankiem śpiesznie ubierze się — i szybko na uczelnię.

— Wiesz, tak dobrze jest się przejść na świeżym powietrzu.

— Odprowadzę cię. Razem się spacerujemy.

— Nie, nie, ja sama. Idę, myślę, powtarzam co było zadane.

Kiedyś śledziłem ją. Czy aby może z kimś nie idzie? Nie. Szła sama. I z uczelni po szerokich stopniach podjazdu zbiegła samotnie. A mimo to odeszła. Zostawiła kartkę: „Odeszłam”. I wszystko!

I nagle jakby olśnienie: tak w ogóle, to nie odeszła! Nie odeszła! Zasmiałem się cicho. Popatrzeć z boku — wariat i tyle. A przecież jestem zdrowy. Tylko u trzeźwo myślącego człowieka może pojawić się taka myśl, jaka zaświtała u mnie.

Ona nie odeszła, gdyż pozostał tu czas przeżyty przez Inkę ze mną. Był i jest ten pokój. Te ściany. To okno rozjaśniające go, kiedy tu siedział. I ja byłem obok niej, patrzyłem na nią, a ona na mnie. Widziały to ściany. Widziały i zostało to na zawsze. Z kim by teraz nie mieszkała, z kim by się nie całowała. Inka zostanie tutaj. Właśnie tutaj! Tutaj! I tutaj! I tam! I tego nie wypalisz nawet ogniem. Ściany wiedzą! I zawsze przychodzą tutaj, i patrzcie na nie będąc ja widział, będąc pamiętał jak ja obejmowałem, całowałem jak dyszałem namietnością i czułością.

Przełożył Kazimierz Prus



Wiktor Krugłow

## POLONEZ OGIŃSKIEGO „POŻEGNANIE Z OJCZYZNĄ”

A gdy Ojczyznę żegnał, odjeżdżając,  
W dróg myci niewiedzę i nieznaną stronę. —  
Polonez ten, na front odprowadzając,  
Pomagał nam zapelniać eszelony.

Gwizdek.

Ruszyły czerwone ciepłuszki  
I dym zawisnął szary nad dachami.  
Gdzieś dał się słyszeć płacz jakiejś staruszki,  
Widać splecioną parę ramionami...

Nie mogłem wiedzieć, że podróż daleką  
Do Polski teraz, przez sto dróg, zaczynam;  
Z ciepłuszką razem kołysał się lekko  
Polonez, który do dziś dnia wspominam.

W bojowym ogniu, dźwiękiem swym zaklętym,  
Dźwięczał polonez we mnie, w każdym rzłonie.  
W schronach, w okopach, w żelazie pogiętym,  
Na polskiej oraz na niemieckiej stronie.

I tkwił tak we mnie, ojczyzny ogromu  
Obraz, gdy obce przemierzał kraje;  
Wróciłem wreszcie do matki do domu,  
Po pięciu latach, do swojej rodziny.

Minęły lata.

W sali koncertowej  
Znow Ogińskiego tony przeogromne.  
Jam z nim związany w swej drodze życiowej;  
Gwizdka...

... ciepłuszek...  
... nigdy nie zapomnę.

Przełożył z rosyjskiego Andrzej Cesarz

## Maksim Tank

Już białe ściele się gryka  
Od nieba kraju do kraju.  
Upiły się wiatrem trawy,  
Miodem pasieki śpiwają.

W tę godzinę, minutę,  
Gdy snują się nasze rozmowy,  
Gdy nasze serca są razem  
Chciałbym całować cię znowu!

Kiedy się dowiesz, że umarłem,  
I świat ci lży przesłonią,  
Uciekaj w puszczy serce czarne,  
Gdzie sosna kora w wodzie tonie.

Tam paproc kwitnie aż do dnia  
Wśród pni zmurszałych i korzeni:  
Tam aksamitem runo gra  
I słońce pisze światłocienie.

Tam wśród zacisznej wielkiej kniei  
Utopisz żal swój kłopotliwy —  
Poziomką słodką się rozwieje  
Wśród ros przepadnie migotliwych.

Naucz się smutek swój zaklinać  
W tych starych sosnach nad krynicą —  
Im też nie lekko jest wspominać  
Jesień, co kwieci nawałnicą.

Przełożył z białoruskiego  
Tadeusz Karabowicz

## Bohdan I. Antonycz

### PLACZ TARNIN

Ucichło. Nawet listka nie trąci ptak dziki.  
Próchno łyska z ciemności niczym oko moru,  
przeziera chłodnym światłem mroczne mateczniki  
jak oko, co dno życia lustruje z uporem.

Kropła krwi z rany nocy — to właśnie kaliny  
jagódka, co wśród liści czerwieni się skrycie.  
O mój bracie jeleniu, myśmy obaj z gliny,  
lecz ty lepiej ode mnie zrozumiałeś życie.

Wiemy: więcej jest koleców niż ziarenek maku,  
węzły życia jak węzły wędrówki ptaszęcej...  
Co noc płaczem roślinnym tkają tarnin krzaki,  
Iż zmuszono je służyć Chrystusowej męce.

Przełożył z ukraińskiego  
Tadeusz Chróścielewski

## Juozas Macevicius

Jak co roku  
odwiedzam dom rodzinny.  
Jak co roku  
postoję przy grobie ojca.  
Jak co roku  
niewiele mi co pozostaje —  
wrócić do chaty,  
zdjąć ze ściany zakurzoną broń,  
wyczyścić pakułami lufę  
i wpatrując się w lśniącą dal  
jak co roku  
sprawdzić siebie.  
Niewiele mi już co pozostaje.

Przełożył z litewskiego  
Tadeusz Chróścielewski

Andriej Wozniesiński

### UCZTA

Człowiek w lesie się pojawił  
i każdemu prezent sprawił.

Przyniósł dla starego wilka  
żałoczątki flaszek kilka.

Dla ropuszki —  
mleko z puszki.

Dał jeżowi,  
co — nie powiem.

A okoniom do jeziora  
lemoniady wlał z wieczora.

Wszyscy grzecznie dziękowali:  
„Troszkęśmy pokosztowali,  
lecz by jeść to oraz pić  
trzeba by człowiekiem być.  
Po cóż siedzieć tu na próżno?  
Zjemy ciebie, bo już późno”.

W odpowiedzi —

„Nie — rzekł człowiek — nie, sąsiadzi.  
To naprawdę fakt fatalny,  
ale jestem niejadalny.  
Cały śmierdząc alkoholem  
(spirytem — gdy kto woli).  
Widział mnie kto na Adama?  
O — po operacji szrama.

Na śniadanie łykam wódkę,  
potem doniesienia krótkie  
z gazet, Jem też, na surowo  
taśmę magnetofonową  
i kolegów z mojej pracy,  
i dwa jabłka mam na tacy,  
posypane DDT.  
I. t. d.

Cała mi wątroba płonie,  
zabić mogą zdrowych koni  
choćby tysiąc,

mogę przysiąc —  
papierosy zagraniczne.  
Bardzo są niehigieniczne.  
Pałę cztery na godzinę,  
czy lubicie nikotynę?  
Chór odkrzyknął: „Nie lubimy.  
Żal nam ciebie — smutnyś, nudny,  
jeśli chcesz, to zjedz nas — trudno”.

Człowiek zamiast się obrazić  
zechciał zgodę swą wyrazić.

Przełożył z rosyjskiego Andrzej Bieł

# „Mazurek Dąbrowskiego” w poezji rosyjskiej

Jan Orłowski

**P**ATRIOTYCZNA pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła”, zanim w Polsce niepodległej awansowała do godności hymnu narodowego, była w okresie zaborów zakazana. Nawet w latach złagodzonej cenzury po roku 1905 jeden z paragrafów zarządzenia władz carskich o „stanie wyjątkowej ochrony wzmocnionej” głosił: „Zakazuje się drukowania, przechowywania, rozpowszechniania i wykonywania zabronionych i rewolucyjnych pieśni: „Boże coś Polskę”, „Z dymem pożarów”, „Jeszcze Polska nie zginęła”, „Czerwony sztandar”, „Warszawianka” i inne...”.

Wymienione na pierwszym miejscu trzy hymny patriotyczne mniej znano w Rosji, natomiast rewolucyjne pieśni „Czerwony sztandar” i „Warszawianka” były przed rokiem 1917 bardzo popularne w rosyjskim ruchu robotniczym, śpiewano je w różnych tłumaczeniach i przeróbkach.

Po wybuchu I wojny światowej rząd carski pragnął pozyskać Polaków, poczynił pod ich adresem pewne obietnice. W odezwie naczelnego wodza armii rosyjskiej, skierowanej do ludności polskiej, zapowiadano na początku wojny, że po zwycięstwie Rosji nad państwami centralnymi odrodzi się

Polska „swobodna w swej wierze, języku i samorządzie”. W tej nowej sytuacji, jaką wytworzyła wojna, mogły się ukazać w Moskwie w 1914 roku „Trzy Polskie Hymny Narodowe” w języku polskim („Jeszcze Polska nie zginęła”, „Z dymem pożarów”, „Boże coś Polskę”). Te same utwory wydano też po polsku w 1916 roku w Kijowie nakładem słynnej księgarni Leona Idzikowskiego („Polskie pieśni narodowe”, Kijów 1916). Przekłady tych pieśni na język rosyjski zamieściła gazeta „Utro Rossii” dopiero w 1917 r. Tu warto dodać, że hymn „Jeszcze Polska nie zginęła” przetłumaczył na rosyjski nasz poeta, Tadeusz Miciński, a ten jego przekład zamieściła wspomniana gazeta dopiero po rewolucji lutowej („Utro Rossii” nr 62 z datą 5 marca 1917). Ale słynny „Mazurek Dąbrowskiego” znany był niektórym poetom rosyjskim znacznie wcześniej. Świadczy o tym powtarzający się w niektórych utworach poetyckich motyw: „Polska nie zginęła”.

Głośny w swoim czasie symbolista Walerij Briusow przybył w sierpniu 1914 roku do Warszawy, gdzie pełnił obowiązki korespondenta wojennego gazety „Russkije Wiedomości”. Tu stworzył wkrótce i wydrukował w tej-

że gazecie wiersz pt. „Do Polski”, w którym wzywał Polaków do wspólnej walki przeciw Niemcom i przepowiadał, że Polska odrodzi się jak feniks z popiołów. Utwór ten kończył się następującą apostrofą do Polski:

Kiedy myśl Twoja ogarnęła  
Czołość swych dziedzin, pół i kniej,  
To okrzyk „Polska nie zginęła”  
Z pieśnią zwycięską naszą zlej.

(Przełożył Edward Słoński)

Słowa „Polska nie zginęła” przytoczył Briusow w brzmieniu polskim, ale napisał je alfabetem cyrylicy. Ten jego wiersz został wkrótce przetłumaczony na język polski przez Leo Belmonta i Edwarda Słońskiego (autora popularnego niegdyś wiersza „Ta, co nie zginęła”) i był w owym czasie szeroko znany opinii polskiej.

W latach I wojny światowej hasło „Polska nie zginęła” spożytkował również w jednym ze swoich wierszy Sergiusz Sokolski. Był on, zapomniałym dziś, przedstawicielem tzw. „lekkiej poezji”, autorem licznych pieśni, kupletów i parodił iiterackich. W roku 1916 adresował do umęczonej przez wojnę Polski m.in. następującą strofę:

Pust' ranu wsiu twoju razjeło,  
Puskaj twoja socziti krow,  
No wsio że „Polska nie zginęła!”  
Ona iz piepla wstaniet wnow.  
(S. Sokolski) „Polsze”

Utwór ten nie był nigdy tłumaczony na polski, dlatego strofę tę przytaczam w brzmieniu oryginalnym. Treść jej łatwo zrozumieć. Słowa „Polska nie zginęła” napisał autor alfabetem łacińskim.

Na początku I wojny światowej dużą popularnością w Rosji cieszył się utwór Fiodora Sologuba pt. „Stance dla Polski”. W słowach poety „Ty nigdy nie umierała”, zawartych w wersji początkowym łatwo się doszukać reminiscencji hasła „Jeszcze Polska nie zginęła”. Wers ów przetransponował na polski Julian Ejsmond następującym zdaniem: „Tyś nie zginęła Polsko święta...” (J. Ejsmond, „Polska w pieśniach cudzoziemskich”, Warszawa 1915). W owym czasie „Stance dla Polski” Sologuba przyswoił polszczyźnie również Artur Oppman (Or-Ol).

Dokończenie na str. 11

kamena



# KORZENIE

Ciąg dalszy ze str. 1

„Strzechy” bardzo silny. Oprócz niej prowadzona była propaganda literatury polskiej, czemu służyła biblioteka licząca po roku już 1117 woluminów, kultury żywego słowa (zespół teatralny) oraz rozwijanie polskiej działalności... gospodarczej. W początku XX wieku w Wiedniu zarejestrowanych było 350 firm polskich, reprezentujących wszystkie gałęzie przemysłu i handlu (!) Kierownictwo „Strzechy” żywo interesowało się ich egzystencją i rozwojem, bowiem — jak zakładano — miały one po wyzwoleniu Polski spod zaborów stanowić zalążek polskiego przemysłu w kraju; miały być po prostu przeniesione do Polski. Miały także za zadanie powstrzymywanie emigracji za pracą do Niemiec i Ameryki.

Aktywność Związku spowodowała zainteresowanie jego sprawami ze strony polskich posłów do austriackiej Rady Państwa, takich jak radca dworu dr Ludomił Germán, Józef Buzek, Zygmunt hr. Lasocki, Włodzimierz Przerwa-Tetmajer. Od nich wzięła początek idea utworzenia w Wiedniu „Domu Polskiego”, która ziściła się w 1908 roku, gdy na Boerhavegasse 25 zakupiono budynek na ten właśnie cel. Były w nim prowadzone odczyty, kursy zawodowe, uczone języka polskiego i niemieckiego, działała biblioteka i czytelnia, organizowano tu imprezy kulturalne i okolicznościowe.

Okres do I wojny był dla „Strzechy” czasem budowania zębów, tworzenia podstaw działalności, wypracowywania nowych jej form.

— Lata pierwszej wojny szczególnie zaktywizowały członków „Strzechy”, którzy — jak wiadomo — dokonali heroicznych czynów dla ratowania wielu rodaków, których wojenny los rzucił na tereny C.K. Monarchii.

— W latach wojny przewodniczącym „Strzechy” był Karol Łoziński, który na naczelnym miejscu postawił niesienie pomocy uchodźcom polskim z zaborów pruskiego i rosyjskiego. Mało kto w Polsce wie, że w owym czasie schronienie w Austrii znalazło 800 tysięcy Polaków, z tego ponad 200 tysięcy w samym Wiedniu. Pomoc tej rzeszy niesły organizacje polonijne, polskie, austriackie, a także kościoły polski na Rennwegu w Wiedniu. Bez cienia megalomanii mogę powiedzieć, że „Strzecha” odgrywała w tej pomocy rolę wiodącą. W listopadzie 1914 roku w odezwie do Polonii i Rodaków nasz Związek zwracał się m.in. w te słowa: „Celem naszym jest zjednoczyć żywił polski w Wiedniu, stworzyć ognisko ogólnopolskie, z wykluczeniem różnic zawodowych i kastowych. [...] Dla nieszczęśliwych braci naszych „Strzecha” otwiera gościnnie swe podwoje”. I tak dokładnie było. Wśród wielu wybitnych rodaków przybyłych wówczas do Wiednia, którzy służyli na miarę swych zdolności owemu „ognisku ogólnopolskiemu”, znajdowali się: synowie Piusa Twardowskiego — dr Juliusz Twardowski, minister i prof. Kazimierz Twardowski, minister Leon Biliński, poseł Zygmunt hr. Lasocki, pisarz Tadeusz Rittner, kompozytor Stanisław Niewiadomski, organizator polskiego skautingu i późniejszy działacz socjalistyczny Adam Ciołkosz, rzeźbiarz Stanisław R. Lewandowski, dziennikarz Roman Hernicz i wielu innych.

Czas wojny przyczynił się także do rozwoju szeregów Polonii, która na początku lat dwudziestych liczyła około 50 tysięcy.

— Nie spełniło się zatem marzenie graniczne powrotu do kraju osiadłych w Austrii przemysłowców, rzemieślników ian-sarwani w latach poprzednich.

— Powiedziałbym, że zrealizowało się połowicznie jak wiele marzeń ludzkich. Byli tacy, którzy wracali byli i tacy, którzy wrosli w społeczeństwo austriackie i nie chcieli ryzykować zmian w jesieni swego życia. Od początku państwowości Rzeczypospolitej kontakty z jej przedstawicielstwami „Strzecha” jednak utrzymywała. W 1925 roku, na przykład, w uroczystym obchodzeniu trzydziestolecia Związku brał udział poseł RP w Wiedniu dr Józef Wierusz-Kowalski. W o-

góle nastąpił niespotykany dotąd wzrost aktywności polonijnej. Kwitło życie kulturalno-oświatowe, teatralne, tworzono drużyny harcerskie organizowano wycieczki turystyczne, wydawano gazety, czasopisma, książki. Polonię odwiedzali wybitni artyści polscy, a wśród nich wielki przyjaciel Polonii Jan Kiepura, związany ze „Strzechą” od 1926 roku.

— Za tę działalność polonijną ze „Strzechy” byli potem prześladowani, po wcieleniu Austrii do III Rzeszy...

— Po anchlussie Polacy, obok Żydów, byli narodem najbardziej prześladowanym i poddawany brutalnej eksterminacji. Już w pierwszym roku II wojny śmierć poniesli zamęczeni: Alexander Stanisław, przyjaciel młodzieży i członek Kuratorium Fundacji „Dom Polski” polonijny działacz robotniczy Wilhelm Wojciechowski, dr Beno Tanenbaum, długoletni członek zarządu „Strzechy” i reprezentant austriackiej Polonii w Radzie Polaków z Zagranicy. Do obozów koncentracyjnych trafili m.in.: Karol Knapczyk, Konstanty Kazimierski, inż. Kazimierz Brunak, Michał Czapla, Stanisław Piwowar, Franciszek Kania, Wojciech Zamojski, Piotr Kaszuba, Kazimierz Lobos, Elżbieta Benkner. Liczba pomordowanych i poległych poloniusów jest trudna do ustalenia. W samym Mauthausen zamordowano 32 tysiące obywateli polskich, w tym znaczną część członków Polonii.

W żadnym razie, mimo wszystkich represji, nie można mówić o bierności „Strzechy” w latach okupacji. Nieśli jej członkowie pomoc współrodakom z narażeniem życia własnego i najbliższych. Na przykład Helga Nemling przyjmowała w Wiedniu korespondencję od rodzin uwięzionych z Polski i ekspediowała ją do obozów jenieckich. Maria Nemling wysyłała, pod otrzymane z Polski adresy, paczki żywnościowe dla więźniów Gross-Rosen i Buchenwaldu. Wybitnym patriotyzmem wykazywali się księża kościołów św. Krzyża na Rennwegu i św. Józefa na Kahlenbergu. Przy okazji mszy i pogrzebów organizowali oni nielegalne zebrania organizacji polonijnych, ukrywali poszukiwanych, nieśli pomoc moralną i materialną.

— Po zakończeniu II wojny okazało się, że liczebność Polonii znów wzrosła. Dlaczego?

— W momencie wyzwolenia Austrii znajdowało się w niej 80 tysięcy Polaków, którzy wywiezieni zostali tu na roboty, do obozów, i z tzw. starej Polonii. Część z Polaków, przywiezionych do Austrii przymusowo, pozostała na stałe, część udała się na emigrację poza jej granice. Naturalnie, wielu powróciło do Polski. Reaktywowanie Związku nastąpiło już w 1945 roku, a z początkiem 1946 ukonstytuował się pierwszy powojenny zarząd z prezesem dr. Aleksandrem Jackiewiczem. Również w styczniu tegoż roku uruchomiono szkołę polską. Odbudowywano życie kulturalne, oświatowe, turystyczne, działalność organizacji kobiecej Kola Kobiet (kontynuacja Ligii Kobiet Polskich), zorganizowano chór i kilka zespołów artystycznych.

— Wasze kroniki notują w tym trudnym czasie dowody pomocy dla „Strzechy” z kraju. Jakże?

— Związek skierował do organizacji społecznych w kraju prośby o pomoc dla osób najbardziej dotkniętych wojną. Był to akt wyjątkowego znaczenia: oto zwrócono się o wsparcie dla córek i synów Ojczyzny przebywających poza jej granicami. Ojczyzna nie zapomniała o swoich dzieciach i mimo tragicznej sytuacji do Austrii szła pomoc, głównie w artykułach żywnościowych, a także w węglu, który Związek Zawodowy Górników przysyłał kosztem własnych deputatów. Wagi tego wspaniałego gestu Polski wobec Polonii nie da się przecenić. Należy jeszcze wyjaśnić dlaczego w ogóle o pomoc taką się zwracano. O tóż system kartkowy obowiązujący w Austrii nie gwarantował nawet najskromniejszej diety.

— Po wyzwoleniu Austrii działalność polonijna rozpoczęła (lub zaktywizowała) wielu poloniusów młodszej generacji.

— Po okresach przełomowych dla historii Ojczyzny, a zatem i naszego

wychodźstwa austriackiego, da się obserwować napływ nowych sił. W pierwszych latach powojennych zjawisko to potwierdziło się. Z czołowych działaczy „Strzechy” byłoby nieaktualnie nie wspomnieć o całym zarządzie, który obok prezesa Jackiewicza tworzyli: ks. Wojciech Niemir, Bronisław Karczewski, Aleksy Liniewicz, inż. Roman Sas-Horodyski, dr Wieniawa-Sledziński, Henryk Weinheimer, Zenobia Ciopa, Kazimierz Kurtynek i Jadwiga Buyno. A także o innych działaczach: red. Władysławie E. Baronie, Ottonie Swobodzie, Józefie Przeniesławskim, Wiesławie Nettel, Waldemarze Maryniczu, Wandzie Maxymowicz, Sylwestrze Makowskim, Alicji Kruszelnickej, inż. Bolesławie Gaickim, Jakubie Sawskim, inż. Marianie Jurku, Edwardzie Pilarku, Franciszku Kani, Antonim Durkalcu, prof. Aleksandrze Ilano Giurescu, dr. Rogerze Forst-Bataglia, dr. Ludwigu Heurteux, Leonie Schmie-dehausenie, Władysławie Hermanie i wielu innych.

Dzięki nim więzi z krajem były utrzymywane stale i dzięki nim wyrastało nowe pokolenie poloniusów hołdujących ideałom „Strzechy”.

— Przejdźmy do czasów obecnych. Ile członków liczy Związek i jakie są jego zasadnicze kierunki działania?

— Liczymy 1300 członków skupionych w Wiedniu oraz dwóch oddziałów w Linzu i Innsbrucku. Przy ogólnej liczbie obywateli Austrii polskiego pochodzenia których jest około 30 tysięcy, wydawać się to może liczbą niezbyt okazałą, ale nam nie idzie w żadnym razie o sukcesy liczbowe i spektakularne. Przede wszystkim staramy się kontynuować tradycję „Strzechy” i wzbogacać formy działania, przymierzając je do obecnych czasów i realiów. Prowadzimy szkołę polską, organizujemy imprezy kulturalno-oświatowe, propagujemy polską literaturę, muzykę, sprawujemy pieczę nad miejscami pamięci narodowej, urządzamy obchody ważnych rocznic, polskich i austriackich świąt narodowych, spotkania małżeństw polsko-austriackich. Utrzymujemy stały kontakt z Instytutem Polskim w Wiedniu, Towarzystwem Polsko-Austriackim, Towarzystwem „Polonia”, Ambasadą PRL w Wiedniu, Polskim Komitetem Olimpijskim. Szczególnie owocne są kontakty z Polonijnym Centrum Kulturalno - Oświatowym UMCS w Lublinie, przy współpracy z którym organizowaliśmy cztery sympozja naukowe i obecnie obchody 90-lecia Związku. W ich ramach odbyły się już uroczystości w Lublinie, a w tych dniach rozpoczynają w Wiedniu.

— W ubiegłym roku „Strzecha” współorganizowała obchody 100-lecia zwycięskiej odsieczy Wiednia, zyskując rozgłos daleko wykraczający poza bilateralne kontakty polsko-austriackie.

— Organizatorami obchodów były władze Austrii, a patronował im prezydent dr Rudolf Kirchschläger. W Polsce powołano również komitet obchodów na czele z przewodniczącym Rady Państwa prof. Henrykiem Jabłońskim. My pomagaliśmy na miarę naszych sił i możliwości. Członek zarządu „Strzechy” kompozytor Zdzisław Wysocki skomponował oratorium „Missa in Honorem Joanni Pauli II” opus 30 na chór mieszany i orkiestrę kameralną. Zostało wykonane w kościele Augustianów z udziałem chóru Jerzego Kurczewskiego. Działacz „Strzechy” prof. Otton Swoboda zaprojektował pomnik Odsieczy Wiedeńskiej, pod który wmurowano akt erekcyjny i kamień węgielny. Odnowiona została kaplica kościoła kahlenberskiego która otrzymała imię Matki Boskiej Częstochowskiej i którą poświęcił 13 września 1983 roku papież Jan Paweł II w asyście prymasów Polski i Austrii kardynałów J. Glempa i F. Königa. W kaplicy tej wykonywał malowidła nasienne. Prace prowadziłem równocześnie z malowaniem dioramy bitwy wiedeńskiej, która w dniach obchodu została zaprezentowana publicznie. Organizowaliśmy także w „Strzesze” wystawę „Odsiecz Wiedeńska w sztuce i dokumentach”. Wymieniam przedsięwzięcia najważniejsze.

— Co jest dla waszej działalności najważniejsze dzieło w dniach jubileuszu?

— Rocznica 90-lecia skłoniła nas do postawienia sobie zadań i celów perspektywicznych, wykraczających poza obchody jubileuszowe. Przede wszystkim staramy się odzyskać część Domu Polskiego na Boerhavegasse 25, gdzie moglibyśmy u-

rzędzić salę koncertową, salę ekspozycyjną, szkołę, bibliotekę, muzeum polskie, archiwum. Rozmowy na ten temat są trudne, ale liczymy na pomoc również strony polskiej. Zamierzamy zająć się rejestracją polskich pamiątek w Austrii, śledzeniem losów wybitnych Polaków przebywających w Austrii od najdawniejszych czasów poczynając. Są to zadania gigantyczne i z pewnością nie na jedno pokolenie Polonii. Chcemy zorganizować szkołę polską z prawdziwego zdarzenia. Mamy też zamiar skupienia wokół i w „Strzesze” jak największej liczby rodaków. Rozpisaliśmy także konkurs na opracowania literackie, pamiątkarskie i historyczne o tematyce polsko-austriackiej i polonijnej. Czas, aby naszej obecności w Austrii towarzyszyła rzetelna dokumentacja, świadcząca nie tylko — jak sadzę — o naszej tam obecności, ale tożsamości naszego narodu w ogóle.

— Pełni pan funkcję prezesa „Strzechy” od stycznia bieżącego roku, ale pańska działalność polonijna znana jest z czasów dawniejszych. Czy chciałby pan powiedzieć coś o sobie czytelnikom „Kamena”?

— Przede wszystkim chciałbym serdecznie ich pozdrowić i wyrazić satysfakcję, że lubelska „Kamena” będzie uczestniczyć — numerem, w którym ukaze się ta rozmowa, w obchodach 90-lecia naszego Związku. Zwłaszcza, że wasze pismo w Wiedniu jest już znane ze specjalnej edycji niemieckojęzycznej z okazji Dni Lublina w Wiedniu.

O sobie mówić trudno i niezręcznie. Pochodzę, podobnie jak cała moja rodzina, ze Lwowa. Tam studiowałem malarstwo u Stanisława Batowskiego i Zygmunta Rozwadowskiego, jednego z autorów „Panoramy Racławickiej”. Oni ukształtowali mnie jako malarza i Polaka. W latach 1946—1951 odbyłem studia w krakowskiej ASP u Ignacego Pieńkowskiego i Fryderyka Wautscha (malarstwo) oraz Jana Hoplińskiego (konserwacja). Do 1955 r. mieszkalem u Jerzego Kossaka, który wywarł wielki wpływ na moje malarstwo. Naszą przyjaźń przerwała jego śmierć. Do dziś pamiętam jego pogrzeb, który musiałem sam przygotowywać. Potem wyjechałem do Katowic i uczestniczyłem w życiu wystawowym krajowym i zagranicznym (m.in. Moskwa, Kijów, Odessa, Budapeszt). W 1974 roku przybyłem do Wiednia, by przygotowywać się do malowania dioramy na 300-lecie odsieczy. Okazało się to znacznie trudniejsze niż myślałem, bo wymagało m.in. studiów w muzeach tureckich. Postanowiłem poświęcić się temu dziełu i mój pobyt przeciągał się w czasie. W pewnej chwili zdałem sobie sprawę, że klimat Wiednia i tutejszej Polonii staje się moim własnym i zdecydowałem się na osiedlenie. Przez jedną kadencję byłem członkiem zarządu „Strzechy”, przez jedną wiceprezesem, a obecnie — prezesem. Od początku działalności w Związku zajmowałem się organizacją życia kulturalnego i publicystyka w „Głosie Polonii”, wydałem też własnym sumptem książkę pt. „Odsiecz Wiednia”. Jestem członkiem zarządu Towarzystwa Polsko-Austriackiego.

Naturalnie, jeśli są jakieś efekty mojej działalności, to tylko dzięki wielkiej pomocy i zaangażowaniu innych członków zarządu „Strzechy”: I wiceprezesa Wandy Maxymowicz — rzeźbiarki, II wiceprezesa Macieja Falka, sekretarza Wiesławy Nettel — śpiewaczki operowej, jej zastępcy Tamary Wohlmuther, skarbnika Bogusławy Blaziny jej zastępcy Grażyny Möller, gospodyni „Strzechy” Augusty Przeniesławskiej oraz członków zarządu: Danuty Nemling — pamiątkarki, Stanisława Soroczyńskiego — aktora, Zdzisława Wysockiego — kompozytora, Wojciecha Górnikę i mgr. inż. Dymitra Sozyko — wybitnego działacza polonijnego. Nie sposób nie wymienić także prezesów oddziałów w Linzu — Antoniego Magall, byłego więźnia obozów hitlerowskich, i w Innsbrucku — Zbigniewa Kluska.

— Dziękujemy za rozmowę, życzymy wszelkiej pomyślności w działalności Związku i życiu osobistym.

— Dziękuję w imieniu „Strzechy”.

Rozmawiał Waldemar Piasecki

Rozmowa, która odbyła się w Lublinie, nie została autoryzowana z powodu wylądowania prezesa „Strzechy” do Wiednia.

Red.



## „Matolenie czy uczenie?”

Dokończenie ze str. 1

gwoździ, przetrąceniu deski czy też wkręcaniu śrub. Przecież bez tych podstawowych czynności dziecko w późniejszych klasach jest manualnym analfabetą!

Waga kuchenna, o której wspomina w swoim artykule p. Zukowski, spędzała mi sen z powiek przez kilka dni. Do jej wykonania (nieestety) musiałem użyć wiertarki z oprzyrządowaniem, wrzynarki, czyszczarki, dłuta itd. Dostałem za to „4-”, podejrzewam, że „4” za robotę, a „minus” za głupotę. Dzieciak z tej wagi i stopnia wcale się nie cieszył, pygnął ją w kącie, a ja po kilku dniach sby przypadkiem wyrzuciłem ją na śmietnik. Szkoda, że nie zachowała się ta waga, przesłabłaby ten wytwór Naczelny Władz Oświatowy jako pomnik supergłupoty naszych programistów. Wtedy mi, że ja także przyłożyłem rękę do matolenia mojego syna.

Nie chcę się wypowiadać na temat całości programu szkolnego. Uważam, że N. Zukowski zrobił to po mistrzowsku, w sposób klarowny i przejrzysty. Kliniczny przypadek wyłapanych bzdur z naszych podręczników. I dlatego my, rodzice, śladamy, aby władze oświatowe, także w sposób klarowny, przejrzysty i nie zamulony, wypowiedziały się na powyższy temat.

Interesuje nas szczególnie, w jaki sposób wszystkie te „Instytuty Oświatowe” badają skuteczność wprowadzonych reform nauczania i ich przyzwalność przez uczniów.

Moje dziecko, dzieki znajomych ma ostry trudności w samodzielnym odrabianiu lekcji. Ja także mam problemy, gdyż pewnych sformułowań nie można zrozumieć. A może już najwyżej czas, żeby posłuchać głosu dzieci, rodziców, nauczycieli, a nie tylko programistów z tytułami dr, prof.? Przecież czym skorupka za młodu nasiąknie... a jak na razie nasiąka cuchnąco [...].

Znam nauczycielkę, która zapytana przeze mnie, co sądzi o aktualnym programie nauczania, odpowiedziała: „Ten cały program wymyślony przez programistów, zatwierdzony przez ministrów, rozprowadzany przez kuratorów, a nadzorowany przez wizytatorów, mam po prostu „gdzieś”. Owszem, byłaby niesprawiedliwa, twierdząc, że wszystko jest złe. Momentami jest dobry, nawet bardzo dobry, ale duża część materiału nadaje się do lemuśa. Ja swoje dzieci uczę rachować, pisać bez błędów, czytać, deklamować i rozumieć ich małe problemy oraz psychikę. I może dlatego każda moja klasa przejmowana przez następczynię jest chwala pod niebiosa. Ale czy program II klasy przewiduje zabawę w sklep? A mój program przewiduje i jest doskonałym sprawdzianem ich wiadomości. Taka lekcja nie nudzi ich, tylko rozbudza wyobraźnię. Owszem, grafami też operują, lecz nie „czują” tego i ich to nudzi. Zresztą tak jak i pani wizytator nie czuje moich lekcji i moich sprawdzonych metod. Owszem, według niej klasa jest bardzo dobra, niktynna itd., nie metoda nauczania zła, nie do przyjęcia”.

Na zakończenie moich spostrzeżeń, chciałbym wypowiedzieć się na temat WF w I — III klasach. Nie trzeba być specjalistą, żeby wiedzieć, że w tym okresie zdolności ruchowe, gibkość, zwinność dziecka są olbrzymie. Dzieci w tym wieku powinny być traktowane przez „wzefmenów” poważnie, jako doskonały materiał na przyszłych sportowców czy chociażby sprawnych ludzi. I—III klasy WF winny mieć w salach gimnastycznych pod okiem pana (pani) po AWF, a program powinien być opracowany przez specjalistów z tej branży z uwzględnieniem elementów gimnastyki, gier, mini-akrobacji itd.

A jak wygląda WF w naszych szkołach w klasach I, II i III? (...) Pani od muzyki, polskiego, przez społecznych wyprowadza dzieciaki na korytarz



— Biteto wygranych miał cały szereg, a Was terkoł kaptura tylko jedno!

Rys. Szymon Kobylński

I w kurzu i brudzie każe dzieciom machać rączkami i nóżkami. I tak oto w prosty sposób za akceptacją Ministerstwa Oświaty produkcja małych kondorek idzie pełną parą. Oglądając w telewizji Olimpiadę, dziwny się wszyscy, że takie małe i młodziutkie cudzoziemki zdobywają medale, wykrecając salta, wiążąc ręce i nogi na szpele, a nasi siedzą z rozdziawionymi gębami i nie wiedzą, co się dzieje i z czym się zjada. I następnie taki dzień, że wyż demograficzny zaczyna gwałtownie spadać, bo dzisiejsze 10—11-latk jak przyszłe mamy nie będą zdolne do figli-migli

miłosnych oraz do wykonania półspagatu i do tego, żeby urodzić dziecko. I nareszcie nie trzeba będzie żłobków, przedszkoli i szkół...

(Nazwisko i adres znane redakcji)

## Teoretyczne złudzenia

Z ZAINTERESOWANIEM przeczytałem artykuł N. Zukowskiego „Matolenie czy uczenie?”. Ożywiłem się jeszcze bardziej po lekturze głosów polemicznych.

Pani Halina Olczak nie ma racji, gdy pisze, że dzieci nie lubią szkoły. Reguła jest raczej taka, że uczniowie młodszych klas lubią szkołę, natomiast wielu uczniów klas starszych w szkole czuje się lepiej, niż potem będą się oni czuć gdziekolwiek i kiedykolwiek. Ja w każdym razie ze szkoły wyniosłem dobre wspomnienia.

Ma jednak polemistka rację, gdy staje w obronie autorytetu nauczyciela. Sam byłem przez trzy lata nauczycielem na zastępstwach i dzięki temu poznałem setki pedagogów oraz tysiące uczniów. Można powiedzieć, że poznałem tyle szkół, co inspektor, choć nie rozglądałem się inspektorskim okiem. Potem obracałem się w różnych innych środowiskach, ale nigdzie nie spotkałem tyłu bezinteresownych zapaleńców i aktywistów, tyłu ludzi poczciwych (żeby nie nadużywać słowa „szlachetny”), dających i siebie więcej, niż się od nich oczekuje. Właściwie znałem tylko jednego złego nauczyciela — siebie samego, dlatego trzymałem się swojej posady rezerwisty chętnie podążającego na zastępstwa.

Tyle apologii, a teraz jeszcze parę słów o przedmiotowym programie szkoły podstawowej. Weźmy do ręki choćby pierwszy lepszy podręcznik do języka polskiego. W prostym, wręcz prostackim wierszu nowoczesnym, wystruganym dosłownie z paru krzywych patyków, autorzy podręcznika doszukują się tylu figur poetyckich, co w manierystycznym sonecie. Uczeń ma siedzieć, zastanawiać się i basta! Wreszcie kończy się to tym, że maluchy zaczynają się bać księżek, bo podejrzewają, że są tam ukryte zjawiska i prawidłowości, których oni nigdy nie będą w stanie pojąć. Tymczasem w komiksach tego nie ma — kombinują sobie po cichu. Przepraszam bardzo, gdyby autorzy uwzględnili w podręcznikach komiksy, to również doładowaliby tyle teorii sztuki, że przeciętny chłopak zbaraniałby ze zdziwienia, ruszył komiks w kącie i pogonił baki zbijając. A o matematyce to już lepiej nie wspominać, gdyż są to w zasadzie podręczniki dla wykładowców. W sumie mamy do czynienia z przejawem konserwatywności, a nie nowoczesności, jak by się to mogło pozornie wydawać — ciągnie się bowiem ta sprawa od samego Platona, a właściwie od pitagorejczyków, którzy mieli największe matematyczne złudzenia.

No i tak to, jak prawdziwi dyskutanci, dotarliśmy do starożytnych.

Janusz Olczak

## LISTY DO „KAMENY”

### BEZ TARYFY ULGOWEJ

**N**AWIAZUJĄC do artykułu Henryka Pajka „Wygrać czy przegrać na punkty?”, opublikowanego w „Kamieniu” nr 19, chciałbym na wstępie podjąć sygnalizowaną przez autora sprawę „kryzysu masowego wykształcenia” i „dyktatu wykształcenia wyższego jako niemal jedynej formy samospelnienia osobowości”.

Otóż wydaje się, że kryzys taki istnieje, ujawniając się poprzez efekty kształcenia, efekty nie najlepsze. A dlaczego są one niezadowalające? Za duża produkcja? Czy ilość musi wykluczać jakość? Liczba samochodów wytwarzanych pod patronatem Forda czy słynnych Dóbr Parkera wcale nie była mala, a każdy chciał poruszać się samochodem tej firmy i pisać piórem wiadomej marki! Czy dyplom tylko jest po to, by zapewnić fach? Czy nie liczy się również na studiach osobowość? A jeśli studia tego nie czynią, to chyba należałoby się zastanowić, dlaczego tak jest, jak jest, a jak być powinno?

Ale wróćmy do kwestii: dlaczego kryzys systemu studiów? Dlaczego kiepska jakość kształcenia? Trudno odpowiedzieć w jednym artykule na takie pytania, ewokujące problem skomplikowany, mający liczne uwarunkowania. Można tylko wskazać, że na poziomie i efektywności nauczania wpływają: programy studiów, organizacja pracy uczelni, kadra, infrastruktura, sami studenci, ich dyspozycje instrumentalne, kierunkowe — które trzeba brać pod uwagę już na egzaminach wstępnych, a nie zastępować punktami! Trzeba przyjmować na studia normalnie. Co to znaczy? Bez punktów za pochodzenie, bez taryfy ulgowej za wrodzenie na wsi czy w mieście, pod strzechą czy w willi. Normalnie, tzn. traktując wszystkich kandydatów jednako. Tak było w pierwszych latach Polskiej Ludowej i młodzież robotniczo-chłopska zdążyła uczenie. Wszystkie powołania obowiązywać jednokowy egzamin. Egzamin, w którym nie sprawdza się tego, czego nie uczono w szkołach (bywają podobno na niektórych kierunkach studia testy, wymagające wiedzy wykraczającej daleko poza program szkoły średniej), ale egzamin z wiadomości objętych programem. Egzamin z myślenia, z umiejętności zastosowania wiedzy, z naukowych samokształceniowych, z zainteresowań. Słowem — egzamin, poprzez który i dzięki któremu można byłoby choć trochę obiektywnie, sprawiedliwie, w sposób humanitarny sprawdzać nie tylko dyspozycje instrumentalne, ale i kierunkowe kandydata wstępującego o indeks wyższej uczelni.

Czy to realnie? Nie wiem. Wiem, że trudne, ale i konieczne oraz normalne. I nad tym należałoby, moim zdaniem, dyskutować.

Druga sprawa: dlaczego coraz mniej na uczelniach młodzieży pochodzenia robotniczego? Jeśli zdaniem autora artykułu działa tu „dyktat wykształcenia”, to dlaczego nie objął on klasy robotniczej? A jeśli objął, to dlaczego są niedobory? Czy rzeczywiście życiowym marzeniem kowala FSC „jest to, aby jego syn nie musiał złuzować ojca w tej kuźni”? Gdyby tak było, myślę, że byłoby więcej kandydatów na studia pochodzenia robotniczego i nie musielibyśmy ich preferować, przyciągać magnetycznym światłem punktów. Czy więc tłumaczyć absencję młodzieży robotniczej na studiach?

O przyczynach malejącego zainteresowania studiami młodzieży pochodzenia chłopackiego autor wypowiedział się już szerzej, co mało przekonująco. Na podstawie (tu danych) formułowana jest następująca wypowiedź: „Nawet kończący studia coraz powszechniej wracają na ofcownię, dyplom wieszają na ścianie gościnniej izby. Tam na wsi czeka na nich ciężka praca, lecz i stosunkowo realne możliwości bytowej stabilności dochodu, może nawet dobrobytu, a zwłaszcza „bycia na swoim” i pracy na własne konto”?

Czy owego faktu absencji, niedoboru chętnych studiowania spośród młodzieży robotniczo-chłopskiej nie należy tłumaczyć między innymi tym, że robotnicy i chłopci patrzą na świat, na obecną rzeczywistość w naszym kraju, bardziej realnie, praktycznie, może nawet za praktycznie i ich dzieci zarządzone są rodzicielskim przeświadczeniem (bliskim może też poglądom autora wspomnianego artykułu), że wykształcenie „niewiele i coraz mniej zapewnia”? Może istota sprawy tkwi w tym, że młodzież ta nie tyle tęskni za uczelnia (oczywiście nie chce przez to powiedzieć, że tak jest w przypadku każdego robotniczego czy chłopackiego dziecka), co raczej za „szmałem”, a tego właśnie nie daje dyplom szkoły wyższej, może z wyjątkami bardzo nielicznymi. Co zatem zrobić, by udrowić sytuację? Czy oprócz wielu niezaprzeczalnych wartości dyplom nie powinien znaczyć np. tyle, ile znaczą dziś choćby zaświadczenie palacza kotłowni, spawacza, hydraulika, traktorzysty czy innego „fachowca” po jakimś tam kursie? [...]

Czym więc przyciągnąć młodzież robotniczo-chłopską na studia? Dowartościowaniem dyplomu, wyższym poziomem szkół na wsi oraz rozbudzeniem motywacji.

Julian Kanis

## POLNE SŁOWA

**M**ATYŁDA Welna mieszka w Lublinie i pisze niezwykle wiersze, niby stare, a nowe. Niedawno wyszedł jej tomik o wsi pt. „Uśmiech Ojczyzny”, wydany przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą. Nie jestem „pożeraczem” poezji, ale ten tomik przeczytałem dwukrotnie, zafascynowany świeżością wizerunków autorki i jej specyficzną twórczością, która nie jest podobna do znanych mi konwencji twórczych innych poetów. Wiersze Matyldy Welny czytałem z uśmiechem zadowolenia i rozdzawalem przyjaźniom jako podarunki okolicznościowe. Pisane w starej formie rymów i rytmów, mają w sobie to, czego poszukuje się w poezji przede wszystkim: swojego odrywania świata, oryginalności wypowiedzi i artyzmu słownictwa. Wiersz „Wiosna, lubeńska, skąd pochodził — nosi autorstwa w sercu: napisała epopeję życia wiejskiego, wyśpiewała pieśń o ziemi naszej. Wiosna, lato, jesień, zima (rosła dąsła) — jak w Reymontowskich „Chłopach”. Jest w tych wierszach sentyment do wsi dawnej, zgrzebanej, szermującej, która odchodzi w nowoczesność, jest też za odchodzącym życzęciem, obyczajem, strojem, kulturą i folklorem.

Ja, wiejski człowiek, przypadam do tych wierszy sercem pisanych dla ludzi, którzy odzili do miasta, by — jak pisze poetka — „odciąć dla nich od zapomnienia obuchy wioleczającego piękna wsi”.

Aleksander Zaczyński  
Zakopane

## W SPRAWIE KASSANDRY

**S**ZANOWNY Paule Redaktorze! W nocie od tłumaczki opowiadania „Kassandra” Christy Wolf („Kamień” nr 21) przeczytałem, że Kassandra (częściej się pisze przez dwa „s”), branka Agamemnona, zdala sobie sprawę, że stoi w obliczu śmierci przed bramą Myken. Nikt, łącznie z autorką notki, nie pytał bohaterki opowiadania (notabene niezwykłej od trzydziestu wieków, a właściwie niezwykłej w ogóle, bo mitologicznej) o jej stan psychiczny, więc sugeruję zawarta w nocie zbyt swobodnie bliższe jej tożsamości. Kassandra nie zabiła Agamemnona, lecz jego żona Klitaj — miestra i kochanek zony Agamemnona, które w nocie nie są nie mów, a Kassandra, mając dar jasnowidzenia (wrojański Klimuszko), swoją śmierć musiała przewidzieć w ogóle, nie dopiero przed bramą Myken, które wobec tego nie odgrywały tu żadnej roli. Dodajmy, że Agamemnon spisał w tym samym czasie i z tych samych rąk co przyprowadzona przez branka.

Podziękowania składam „Słowniku kultury antycznej”

Zygmunt Mikulski

Kamena



# Operetka w dniu swoim powszednim

Lidia Wójcik

ZACHODZĘ któregoś wieczoru do Teatru Muzycznego w Lublinie (właściwie powinienam wyrazić się od razu poprawnie — do budynku, w którym odbywają się przedstawienia tegoż teatru), przy wejściu słyszę muzykę, myślę zrazu, że to już pierwsze takt „Księżniczki Czardasza”, ale to tylko... tango „La Comparsita” — proszę nie myśleć, że trafiłam do Teatru im. Osterwy, gdzie właśnie grane jest „Tango” Mroźka — to tylko echa dancinowej zabawy dochodzące z sali wojkowego cassina.

Pani w kasie teatralnej, na szczęście bardzo miła, a nie jest to w teatrach zjawisko wcale powszechne, przydzieliła mi jakieś miejsce na balkonie. Jakież to szczęście, że właśnie na balkonie. Zawsze myślałam, że w teatrze najlepiej widać z piątego i szóstego rzędu (takie miejsca przydziela się na premiery ważniejszym gościom), teraz już wiem, że z balkonu. Widać przede wszystkim widownię; panie pogryzają słone paluszki, jakiś młodzieniec złożył ręce na kolanach siedzącej obok panienki, kilku innych obgryza paznokcie. Z balkonu widać jeszcze orkiestrę, to bardzo ważne. Muzycy stroją instrumenty, zagrali już pierwsze takt „Wesołej wojny”, wszyscy odkładają instrumenty.

Na scenie zaczyna się jakaś opowieść o księżniczce i jej miłosnych perypetiach, ale przecież fabułę wszystkich operetkowych opowieści, usiłujących unieść ludzi do izawego nieba, dobrze wszyscy znamy. W orkiestrze natomiast zaczyna być ciekawie. Panie szydelkują, dziergają na drutach (to wcale nie jest żarcik), panowie konwersują, inni ziewają. Kolorowo, tylko dyrygent w czarnym fraku, członkowie orkiestry ubrani na zasadzie „com ta miał”, panie w zielonych i różowych sweterkach, panowie w podkoszulkach w kolorowe prążki i kółka, w swetrach, flanelowych koszulach, zupełnie prywatnie, „na luzie”.

Czy nikomu w Teatrze Muzycznym nie przyszło do głowy, że wszystko, co widz ogląda w przestrzeni sceny, jest jakąś częścią składową widowiska i że to wszystko coś znaczy, jest znakiem teatralnym? Nie trzeba wcale znać semiotycznej teorii teatru, żeby to wiedzieć. Ale nawet jej znajomość nie wyjaśni nikomu, co też znaczy w przygodach księżniczki owe szydelkowe robótki skrzypaczki. Niestety, nie wiem nawet, jak się nazywa ta pani, która w czasie zajęć w teatrze musi jeszcze w ten sposób dorabiać (czy zawód muzyka jest aż tak źle opłacany?).

Bywam w Teatrze Muzycznym parę razy w roku, ale do tej pory raz jeden tylko udało mi się kupić program, wydany z okazji jubileuszu 25-lecia pracy artystycznej Krystyny Jarmulówny-Josicz. Oczywiście nie wierzę, że w Teatrze Muzycznym nie wydaje się programów do każdego przedstawienia (to tylko ja pewnie nie mam szczęścia), bo przecież skądinąd wiem, że istnieje tu stanowisko, nazywające się bardzo poważnie — kierownictwem literackim. Należy zatem podejrzewać, że owo stanowisko zajmuje po prostu osoba niezwykle skromna i nie ujawnia efektów swojej pracy. A szkoda, bo przecież wielu widzów chciałoby zapewne wiedzieć, kto to taki owe „cud dziewczynki”, uroczę tancerki, zwłaszcza te jeszcze młode i zgrabne.

Trzeba przyznać, że balet jest w zasadzie jeszcze najmocniejszą stroną Teatru Muzycznego. Kiedy słyszy się skrzeczące, schrypięte głosy, które kiedyś były może lirycznymi sopranami, to chce się, żeby jak najszybciej pojawili się na scenie tancerze. Ale pomiędzy urodą walców i kanonów, pomiędzy muzyką i tańcem jest się niestety narażonym na wysłuchanie miłosnych perypetii bohaterów, przybranych w ciężkie żarty, na wszystkich przedstawieniach podawane zresz-

ta identycznie. Aktorzy z omptoi amantów, w kiepskich warunkach głosowych, mają, zdaje się, na stałe opracowane już swoiste „numery” i nie próbują wcale ich zmieniać. Niezależnie od tego, czy aktorka ma być księżniczką Iwoną, hrabiną Maricą, Zuzanną czy Albertynką, pokazuje wciąż te same chwytły. Tekst mówiony jest wyjątkowo niewyraźnie, by nie powiedzieć, niechlujnie, na szczęście od czasu do czasu zagłuszany bywa przez dancinową muzykę, którą doskonale słychać z sąsiedniej sali.

Teatr Muzyczny w Lublinie pracuje w warunkach, delikatnie mówiąc, trudnych. Nie zawsze może grać wtedy, kiedy chce, bo sala i budynek, jak wiadomo, mają jeszcze wiele innych przeznaczeń. Nie bardzo wygodnie jest korzystać z tego typu gościny, ale na razie nie zanoszą się wcale na to, by prędko Teatr Muzyczny mógł się prze-



Rys. Adam Lep

prowadzić do budynku, gdzie obecnie mieści się Teatr im. Osterwy. Terminy oddania budynku nowego teatru przesuwają się oczywiście w bliżej nie określonej przyszłość. Ale czy dlatego, że warunki nie są najlepsze, trzeba jeszcze „równać w dół”?

Widz nie może wprawdzie kupić programu, ale za to podczas przerwy w tzw. foyer ma przyjemność spotkać niepełnie już może trzeźwych uczestników dancinowej zabawy, ba, nawet może otrzymać zaproszenie na „jednego” (taniec?). O czym na scenie śpiewają aktorzy, nie bardzo można zrozumieć, ale za to można obserwować, jak wzrasta włóczkowa robótko skrzypaczki.

Bilet do Teatru Muzycznego można zawsze kupić bez żadnych trudności, tylko że wciąż na te same przedstawienia. Któż je będzie oglądał, myślę, że nawet najwięksi lubownicy opery buffo nie są w stanie więcej niż jeden raz obejrzeć „Targu na dziewczęta” czy „Kwiatu Hawajów”. Premiery w Teatrze Muzycznym zdarzają się

rzadko, ostatnia — „Kia jest George?” w marcu 1984 r.; najbliższa — „Cnotliwa Zuzanna” — zapowiadana jest na listopad br. Od lat kilku grane są wciąż te same przedstawienia, w żelaznym repertuarze pozostaje „Księżniczka Czardasza” (prem. 1980 r.), „Targ na dziewczęta” (1983 — maj), „Kwiat Hawajów” (listopad 1983).

Przygotowanie przedstawienia w Teatrze Muzycznym jest przedsięwzięciem kosztownym, w obsadzie występuje przecież kilkadziesiąt osób, często trzeba zgromadzić kilkadziesiąt kostiumów, a ileż cekinów, świecidełek, piórek, brokatów, pozłotek... I stąd pewnie latami gra się to same sztuki, żeby teatr zarabiał, oszczędzał, może jeszcze „samofinansował się”? A poza tym da się to wytłumaczyć kryzysem, bo przecież wiadomo, że nie ma gwoździ, płótna, farb, kleju, błyszczących tkanin...

A operetka — co wynika z natury tego gatunku — musi pękać od nadmiaru formy, w której gnieździ się całe glupstwo mające „ukość” i cała nieautentyczność polegająca na wytwarzaniu chorych fikcji. Ale pewnie właśnie to decydowało zawsze o jakimś swoistym uroku operetki, że umiała produkować glupstwo i ubierać je w wystawność. Może dlatego teatry muzyczne w wielu krajach były i są teatrami komercyjnymi, budzą nieustanne zainteresowanie widzów; u nas, jak wiadomo, komercyjne być nie mogą, a przy tym są traktowane jako nieco gorszy rodzaj sztuki teatralnej, bo już w założeniach, rozrywkowej. Oczywiście źródła takiego właśnie pojmowania działalności teatrów muzycznych należało by szukać gdzieś u narodzin operetki. W starożytnej Grecji komedia była od początku jakby tym nieco gorszym gatunkiem, nie od razu zresztą była samodzielną sztuką, istniała jakby w cieniu tragedii. Po zakończeniu każdego przedstawienia teatralnego wystawiano jeszcze dramaty satyrowe, pełne nieprzyzwoitości, grubych żartów, sprośności i choć były tylko dodatkiem do zasadniczej części widowiska — tragedii — stały się szybko ulubioną ludową rozrywką. Z tego wyrosła operetka i dzisiejszy jej kształt niewątpliwie nosi w sobie tamto dziedzictwo, tylko nie wiem, czy jest jeszcze ulubioną rozrywką, czyjakolwiek. Ale jeśli nie jest, to tylko z winy samej operetki, że niewłaściwie pojmuje swoje funkcje rozrywkowe. Terminy „rozrywka” i „popularność” nie muszą wcale oznaczać bylejakości, tandety, kiczu. O tym zdaje się zapomniano w teatrach muzycznych, w Lublinie także.

Nie wiem czy operetce cokolwiek może pomóc, czy jest wrażliwa na jakiejkolwiek poszturchiwanie, zdaje się, że nie. Jakże okrutnie szydził z tej instytucji — jeszcze w jej przedwojennym wydaniu, ponoć lepszym — Witold Gombrowicz, kiedy pisał: „zachodzę już po raz trzydziesty czwarty na przedstawienie „Księżnej Czardasza...” (!) Tuwim zaś mówił o „wielkich i nieprzenikniętych obrzydliwościach widowiska scenicznego zwanego operetką”, o „mdłej tkliwości”, „tanim wyuzdaniu”, „nędzy idiotycznego szablonu”, „postępnym dowcipach”, „czarnej nudzie odwiecznych sytuacji” i „barwach smutnych efektów”. Operetka okazała się niezwykle odporna na wszelkie obelgi.

Ale może nie zaszkodzi przypomnieć jeszcze i takich słów Juliana Tuwima: „cała ta instytucja sceniczna, zwana operetką, powinna być tak gruntownie w odpowiednie miejsce kopnięta, aby się w niej coś przewróciło”. To przesłanie dedykuję lubelskiemu Teatrowi Muzycznemu u progu nowego sezonu.

KSIAŻKI • KSIAŻKI • KSIAŻKI • KSIAŻKI • KSIAŻKI • KSIAŻKI • KSIAŻKI • KSIAŻKI • KSIAŻKI • KSIAŻKI • KSIAŻKI

## Czysty głos

TADEUSZ Chrościelewski, przysięgły łodzianin, złączony z Lublinem kilkoma uniami personalnymi i przez to utrzymujący kontakt z łamami „Kamena”, wydał nowy tom wierszy „Legenda nigra”. Jak się tłumaczy tytuł? Tłumaczenie zwrotów poetyckich, a więc przekładanie ich na język prozy, jest zawsze zawodne, ale czytelnikowi należy się jakieś naprowadzenie na domysł wobec enigmatyczności samego sformułowania.

Otóż (ale to też hipoteza niżej podanego) w przesłaniu tomu jest mowa o „Legenda aurea”, dziele Jakuba de Voragine, „najoptimistyczniejszego z pisarzy”. Tytuł tego dzieła tłumaczy się jak „To, co powinno być przeczytane, a jest złote”. To przekład filologiczny. Chodzi o słowo godne lektury przez swą właściwość psychodeliczną, przez optymistyczny potencjał. Chro-

ścielewski odwraca. Mówi o tekście zaalugującym na przeczytanie przez „zaciemnienie” (niger — ciemniejący), jako że tekst zawiera jakby podsumowanie życia piszącego, a ono mimo uroków świata przy konsekwentnej refleksji nie zapiaśnie się jasnymi barwami w duszy i świadomości.

Chrościelewski obrał sobie osobliwą — i osobną — pozycję we współczesnej poezji. Outsidera. Takiego, co to i „anachronizm” jakiś od czasu do czasu popełni i „ograniczone” rekwiwitu się nie przestraszy i „nie-współczesną” postawę filozoficzną przyjmie, a wszystko nie dla jakiegoś wymyślonego „retro”, czy oryginalności (czytaj: oryginalności), ale dla dookreślenia tych obszarów znaczeniowych, które w bieżącej, a pobieżnej stylistyce pełnego wyrazu nie otrzymują.

Tylko rzecz szczególna. Wyglądałoby na to, że oponując przeciw zdawkowej głębi współczesnych „propozycji”, przeciwstawił im coś bardzo na serio, coś zasadniczego, coś z credo, choćby z ryzykiem powagi narażonej na pobłażliwość. Tymczasem Chrościelewskiego gra ze słowem — nie gubiąc niczego z prawdy — skrupulatnie unika przejawiania w zamkniętej racje. Jest tu zawsze jakby wykręcanie się ślaniem w kierunku żartu, jakaś niechęć do przedawkowania, unik

przed wybrzmieniem tonu, który doprowadzony do końca emisji przestaje znaczyć, bo znaczy zbyt topologicznie. Może nie najwyraźniej ta tendencja widnieje w zbiorze ostatnim, który mimo wszystko pożyteczne pewne preferowane sposoby stylistyczne dla stanięcia oko w oko z losem, podsumowaniem, oddaleniem, ale i tu pojawia się ten ruch po obrzeżach słowa tym sugestywniej wskazujący jego środek. Tak, Chrościelewski umie narzucać. Przez to, że jakby się odżegnywał.

Ale czy nie przedkładać jego wierszy pisanych regularna strofą? Tu jednak już i subiektywizm czytelnika dochodzi do głosu. Może się z nim autor nie liczyć jako że sam znajduje się po innej stronie tekstu i ma prawo czytelnika nie podejrzewać o uchwylenie intencji nakazujących użyć takich, a nie innych środków, ale nawyki odbiorcze też się liczą. Znaczy: autor jest indywidualnością uformowaną również przez czytelnika i wykorzystanie tej okoliczności sprzyja spotęgowaniu wymowy. A więc „Legenda nigra” trafiła we mnie przede wszystkim wierszami takimi, jak „Król, którego ślepa...”, „Sentymenty i laszeczka”, „Historia”, „Za Mokobodami”, a więc tym, co w moim przyjęciu utrwaliło się jako „Chrościelewskie” najbardziej. Co, oczywiście, jest rzeczą do dyskusji, która — nie mniej oczywiście — w przyszłości nie raz przyjdzie podjąć.

Tymczasem warto zauważyć jeszcze jedną właściwość Chrościelewskiego:

żadnych obaw przed wierszami okolicznościowymi. Wynikającymi z sytuacji, czy wprost ze środowiskowego zamówienia. Nie ma żadnej różnicy między nimi a tym, co wypływa z osobistego impulsu, ze szczerzego odruchu serca, z tego „co się w duszy gra”. Czyżby autor osiągał to niepodjęciem tematu leżącego poza sferą jego ustosunkowań się do zjawisk tego świata, czyli Chrościelewski może pisać o wszystkim, nie przymuszając się, nie wychodząc poza zasięg osobistych emocji. Ostatnio dało się to stwierdzić na przykładzie „Gwiazdozbiórów czwórbarwnych ze snów wystrzyganych” (1982), które są i poetyckim reportażem krajoznawczym i przykładem czystej liryki refleksyjnej.

Oto powody, dla których każdy tom tego autora to oddzielny, selektywny głos poetycki, nie wtopiony w gwar ogólnie stosowanych manier i upo-

Zygmunt Mikulski

Tadeusza Chrościelewski: „Legenda nigra”. Wydawnictwo Łódzkie, 1984, str. 71, cena 30 zł.



# Co z Białym Wężem?

CO by powiedzieć, tegoroczne oferty koncertowe PAGART-u były bardzo atrakcyjne. Występy Classix Nouveaux, Nazarethu, Championa Jacka Dupree, Iron Maiden, Charles Aznavoura, The Shorts i Kajagoogoo dostarczyły niemało emocji. Jeśli spełnia się wszystkie obietnice PAGART-u, możemy spodziewać się wkrótce następných sensacji.

Jedną z takich zapowiedzi (choć nie wiadomo, na ile realną) jest przyjazd grupy Whitesnake, która po okresie wewnętrznych zwątpień i niepokojów zaczęła nowy oddech. Wzmocniona personalnie o dwóch nowych instrumentalistów, znów urzeka i szokuje entuzjastów heavy metalowego halasu nie tylko z Wysp Brytyjskich. Po głośnym tournée koncertowym wspólnie z Tedem Nugentem i Judas Priest, krytycy nie mogą nachwalić się świetnej kondycji i pomysłowości kapeli. Pracuje ona teraz niczym perfekcyjna maszyna rytmiczna.

Nazwa WHITESNAKE kojarzona jest z Davidem Coverdale — ongiś wokalistą grupy Deep Purple, który niejako w rewanżu ściągnął do siebie trzech innych muzyków z Głębokiej Purpury. Samotna droga tego utalentowanego śpiewaka trwała dłużej, zanim trafił on do studyjnego chóru sesyjnego, a w końcu do półzawodowej formacji Fabulosa Bros. Nie przypuszczał jeszcze, że przyjdzie mu na jakiś czas związać swój los ze słynną w świecie hard rockową grupą Ritchie Blackmore'a. Trafił do niej w chwili słabości Purpury. Po owianych legendą koncertach Deep Purple w Japonii (utrwalonych zresztą na płycie) i wielkiej klęsce w Osace, która doprowadziła do rozłamu i odejścia solisty Iana Gillana, zespół był o krok od zawieszenia działalności. Właśnie wtedy wybór padł na Coverdale'a, któremu zaproponowano miejsce Gillana.

Z Purpurą przyszło mu śpiewać kilka lat, zanim kapryśny Blackmore nie stracił całkiem do niego sympatii. Przedłużające się niesnaski w zespole skłoniły Davida do szukania czegoś nowego. Nie chciał być ciągle uzależniony od kaprysów nieco już znużonych kolegów z Purpury. Toteż w 1976 roku w studiu na Kingway doszło do rejestracji pierwszej płyty solowej Coverdale'a, zatytułowanej dziwnie — „White Snake” (Biały Wąż).

Dziwne to było wydawnictwo i zaskoczyło niejednego fana Deep Purple. Od hard rockowego halasu przeszedł

solista nieoczekiwanie w klimat nagrań murzyńskich, funky, soft rocka, a nawet gospels. Znak widomy, że eksperymentował. Może trochę po omacku usiłował wyrwać się z obszaru dźwięków narzucanych mu dotąd przez muzyków Deep Purple. Krytycy, czuli na nowinki, uznali krążek jednorazowym „wyskokiem” znerwicowanego faceta i nie zaprzętauli sobie nim głów.

Uplynał jednak rok i David ponownie dał o sobie znać. W tym czasie Głęboka Purpura praktycznie nie istniała. W towarzystwie perfekcyjnych „wymiataczy” nagrał Coverdale drugą, tym razem jednak agresywnie rockową płytę „Whitesnake” (różnica z poprzednim wydawnictwem jedynie w pisowni). Furia, z jaką grali muzycy, sprawiła, iż tym razem nikt z krytyków nie zlekceważył albumu. Poświęcono mu sporo miejsca w recenzjach, pisząc w ciepłych słowach o nowych pomysłach Coverdale'a. Snuło przypuszczenia, jaki obrót może przyjąć dalsza działalność nieposkromionego wokalisty.

David postanowił eksperymentować dalej w poszukiwaniu nowych współbrzmień i wymarzonego przez siebie składu kapeli. Z akompaniamentem innego jeszcze garniturę muzyków zrealizował bardzo dobry album „Northwinds”. Stworzony na bazie tego składu zespół ochrzcił Białym Wężem i razem z nim zarejestrował w studiu interesujący od strony melodycznej i tekstowej, piekielnie rytmiczny krążek „Trouble”.

Muzyka proponowana przez formację Coverdale'a była wystarczająco głośna i dynamiczna dla fanów heavy rocka, a mimo to lider pozostawał niezadowolony. Miał zamiar dopracować się jeszcze bardziej ekspresyjnej formy. Osiągnął ją wreszcie na doskonałej brzmieniowo płycie „Love Hunter”. Oprócz odurzających riffów gitar w rytm szalonej perkusji Ducka Dowle zawierała ona swoistą ciekawostkę. Była nią króciutka piosenka — życzenie „We Wish You Well” (Wszystkiego najlepszego). Pomysł wydał się Davidowi na tyle zabawny, że umieszczał to zdanie na każdym następnym dysku.

Skład grupy Coverdale'a był mocno labilny. Wynikało to z kaprysów i zbyt wielkich wymagań lidera wobec współpracowników. Po odejściu Dowle'a do Whitesnake dotarli inni muzycy. Wśród nich było aż trzech członków Deep Purple (David Coverdale — śpiew, John Lord — instrumenty klawiszowe i Ian Paice — perkusja). Mie-

## DAVID COVERDALE White Snake



Fot. Robert Lipski

li oni dość inwencji, siły przebicia i zapału do pracy, aby zainicjować ogromnie widowiskowe trasy koncertowe.

Wozono więc ze sobą potężną aparaturę nagłaśniającą, ogromne lustra, lasery i tysiące dziwnych rekwizytów, pozwalających na uprawianie szaleństw scenicznych w stylu dawnej Głębokiej Purpury. Właśnie na fali takich ekscesów scenicznych powstał bardzo ekspresyjny album „Ready'En'Willing”. Już wtedy kolekcjonerzy czarnych krążków byli przekonani dostatecznie, że Biały Wąż upodobał sobie szokujące okładki płyt i proste do rozszyfrowania podteksty. Było ich na każdym krążku wiele.

Następne wydawnictwa byłyby z pewnością dojrzałe i bardziej atrakcyjne w odbiorze, gdyby... No właśnie, gdyby muzyka załogi Węża nie stawała się monotonna, mało odkrywczą, wymęczoną i wręcz nudną. Ten spadek formy szedł w parze z odejściem z zespołu Lorda i Paice'a. Ostatnie trzy płyty rejestrowane były w jakichś enigmatycznych składach,

bez podania nazwisk grających w kapeli instrumentalistów.

Postępująca stagnacja sprzyjała pogłoskom o rychłym zmięczeniu Whitesnake, tym bardziej, że ani „Come En Get In”, ani „Whitesnake Live In The Heart Of The City”, ani też „Saints An Sinners” (tytuły kolejnych albumów formacji Coverdale'a) nie spełniły oczekiwań wiernych grupie sympatyków. Każde następne wydawnictwo było gorsze od poprzedniego.

Przebudzenie z drzemki nastąpiło dopiero w tym roku. Po kilkunastomiesięcznym milczeniu grupy ukazało się nowe dzieło Białego Węża — „Slide It In”, świadczące o powrocie świeżych pomysłów, energii i zapału do pracy. Miejmy nadzieję, że w takiej właśnie formie przyjdzie nam podziwiać grupę podczas ewentualnych koncertów w Polsce. Oby tylko za sprawą rzutkich impresariów z PAGART-u firma Coverdale'a zdołała do nas dotrzeć.

Istvan Grabowski

## „Mazurek Dąbrowskiego” w poezji rosyjskiej

Dokończenie ze str. 7

Znacznie częściej motyw „Mazurek Dąbrowskiego” powtarza się we współczesnej poezji rosyjskiej. Wielokrotnie drukowany w Polsce wiersz „Poeta ze spiżu” Paweł Antokolski poświęcił Mickiewiczowi i jego wielkim ideałom. W zakończeniu umieścił strofę o jego przyjaźni z Puszkim. Pisał w niej:

Tak samo, choć sto lat minęło,  
Szatańskie wspólnie depeczą dzieło,  
Więc — „Jeszcze Polska nie zginęła”  
I nie jest ona wrogiem nam.  
(Przełożył Władysław Broniewski)

Słowa „Polska nie zginęła” przytoczył Antokolski w brzmieniu oryginalnym.

Fragment poematu „Kraje niedalekie” Dawida Samojłowa zawiera opis Powstania Warszawskiego. Autor stworzył tu następujący obraz: poprzez zgiełk bitwy z osaczonej przez wroga powstającej placówki dobiegają przerywane hukami wystrzałów słowa „Jeszcze Polska nie zginęła”, powtórzone przez autora wielokrotnie jako motyw przewodni owego fragmentu poematu. Samojłow jest również twórcą kilku innych wierszy o tematyce polskiej („Ostatnie wakacje”, „Podwórzec Mickiewicza”, „Słowiki Konstantego Ildefonsa”).

Poeta i tłumacz literatury polskiej Borys Stucki ofiarował Władysławowi Broniewskiemu na ostatnie urodziny wzruszający liryk „Pokąd nad wierszem ludzie płaczą...”, stworzony w 1965 r. Pisał w nim o potęgę sio-

wa poetyckiego, które porównał do siły przetrwania rozdzielonej niegdyś Polski. Posłużył się przy tym motywem z polskiego hymnu:

„Nie jest przebrzmiałe nasze dzieło,  
nie wyczerpane do tej pory.  
Ono, jak Polska,  
nie zginęło,  
choć wytrzymała trzy rozbiory.  
(Przełożył Marian Piechał)

W wierszu „Do polskiego przyjaciela” Wadima Kuzniecowa występują liczne wyrazy polskie, w tym dosłownie przytoczone wielokrotnie w wymienione słowa z „Mazurek Dąbrowskiego”:

„I nie za to, druhu mity,  
Przelewałeś ze mną krew,  
Ze nam ponoć tętni w żyłach  
Z prehistorii wspólna krew —

Lecz by nasze wielkie dzieła,  
Księgi praw i łany zbóż...  
Zeby Polska nie zginęła,  
By czcigodna żyła Ruś...  
(Przełożył Tadeusz Rokitniak)

Zmarły w 1971 roku Grigorij Pietnikow był z linii matki potomkiem powstańca 1863 r., spokrewnionym z członkiem Rządu Narodowego, Rafałem Krajewskim. W wierszu „Pamięci moich Krajewskich” wspominał o swym przywiązaniu do tych rodzinnych tradycji, pamiętek i mowy polskiej, której nieśmiertelność określił słowami z naszego hymnu narodowego:

Niby w głąb alei tajemniczo-zielonych  
Wehodać w bliskie mi brzmienia

Mowy, co Nie Zginęła.  
(Przełożył Jan Koprowski)

Warto tu dodać, że ten wiersz, zawierający tak wyraźne akcenty polskie, był ostatnim utworem powstałym na krótko przed śmiercią Pietnikowa.

Trzeba tu przypomnieć jeszcze jednego poetę rosyjskiego, w którego żyłach płynęła polska krew. Jest nim Kazimir Lisowski, urodzony na Syberii potomek polskiego zesłańca. W 1944 r. poeta ten napisał marszową pieśń pt. „Naprzód, polskie oddziały!”, w której bardzo wyraźnie dźwięczą reminiscencje „Mazurek Dąbrowskiego”:

„Szumią sztandary w bojach podarte,  
Serca wzbierają chlubną odwagą.  
Marsz, marsz, Dąbrowski! Przejdź  
Wisłę, Wartę —  
Tam próg rodzinny, tam ojców zagon.  
(Przełożył Tadeusz Chróścielewski)

Słowa „Marsz, marsz, Dąbrowski!” zacytowane były w oryginale po polsku.

Polski hymn narodowy ma moc oddziaływania nie tylko na Polaków, o czym wiadomo zwłaszcza w krajach słowiańskich już w XIX wieku. To może zabrzmiał megalomańsko, ale nie jest to megalomania narodowa: trudno byłoby znaleźć w świecie hymn innego narodu, który osiągnął taką popularność i przeniknął do świadomości narodów sąsiednich w takim stopniu jak „Mazurek Dąbrowskiego”.

Jan Orłowski

## POCZTA LITERACKA

Henryk K. Lublin. Z zainteresowaniem przeczytałem to, co otrzymałem. Prosy poetyckie są lepsze od wierszy. Mam tu szczególnie na myśli: „Zaduszki”, „Cień”, „Poeta” i „Pozostana nam wspomnienia”. Odebrałem jednak te miniatury, jak wprawki do opowiadań, do utworów większych. Uchwylenie chwili, nastroja, owsem, to bardzo ważne, ale wypowiedzi te czynią wrażenie niepełnych, skomplikowanych Prose o tym pomyśleć, a po jakimś czasie nadesłać nowe utwory.

Robert W. Łódź. Próbuje Pan wierszem opowiedzieć to, co w tej formie relacji nie znosi. Powoduje to nieznośną, długą, przegadanie. Pisze Pan „Moje pisanie pomaga mi bardziej poznać samego siebie, poznać relacje ja — świat, świat — ja. Może moim pisanem może pomóc też innym”.

Za wczesnie, Panie Robertcie, zresztą w tym wydaniu nie nastąpi to zapewne nigdy. Natomiast cieszę się, że terapeutycznie — jako student medycyny także — traktuje Pan swoje pisanie dla siebie, i bardzo dobrze!

Marek M. Ketrzyn. Zdarzają się chwile w tych wierszach, które coś na przyszłość obiecują. Jednak nawet najlepszy poeta budza wątpliwości, gdy do redakcji pisał z błędami: zasnołem, tważ, ośperwacja, dotat itp. Chciałby Pan to „widac” na razie nie wyda Pan, nie wyda, to jest moje przekonanie i opinia, o która Pan prosił.

Andrzej M. Lublin. Być może ta kilkuletnia przerwa w pisaniu, zadana sobie samemu, dobrze Panu zrobiła. Myślę jednak, że jedynie w refleksji, zadumanu się nad sobą. To niemało, ale brakuje mi w tych wierszach czegoś, co porwałoby czytelnika, przykuwało jego uwagę. Leci to bardzo, eschie.

TJ



Rozpoczynamy druk głośnego (niegdys) opowiadania Marka Hlaski pt. „Petla”. Opowiadanie to przeniesione na scenę grane jest obecnie w Teatrze Adegwalnym w Warszawie. „Petla” ukazała się w debiutanckiej książce M. Hlaski pt. „Pierwszy krok w chmurach”, wydanej przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik” w 1956 r.; stąd też pochodzi nasz przedruk. (Red.)



Z dobrą kobietą — nie boli życie,  
od dobrego jada — nie boli brzuch,  
od dobrego trunku — nie boli głowa...  
Jedno z przysłów,  
które są mądrością narodu.

**O**BUDZIŁ się o ósmej rano. Czuł jeszcze pewną ociężałość, lecz nie było to już owo dławiące, straszne uczucie którego doznawał tak często — nie był to katzenjamer. Wstał i podszedł do okna. Dzień był szary, pełen zimnych i lepkich mgieł; późna jesień odarła miasto z kolorów i wdzięku. Oparty ręką o framugę okna, patrzył na mokre dachy domów; przypomniało mu się miasto, z którego pochodził, dzieciństwo, szkoła, pierwsza dziewczyna; posiadał ją w taki właśnie dzień, a przedtem długie dni chodził pod jej oknem — znał każdą szczelinę w asfalcie koło tego domu, gatunek tytoniu, który palił stróż, każdą cerę na brudnych firankach wiszących w oknie mieszkania na pierwszym piętrze.

— Dawno — powiedział cicho do siebie. — Boże, jak strasznie dawno...

W tym momencie zadzwonił telefon. Spojrzył na zegarek i uśmiechnął się. „Punktualna” — pomyślał. Podniósł słuchawkę i zapytał:

- To ty, Krystyno?
- Nie poznajesz?
- Nic przecież nie powiedziałaś — rzekł.
- Więc o szóstej?
- Tak — powiedział cicho. — Będę czekać w

domu. Teraz jest dopiero wpół do dziewiątej. Strach mnie ogarnia, jak pomyślę że to jeszcze tyle czasu. Siedzę tutaj sam... Boję się, że będą dzwonić... Chciałbym żeby już było po wszystkim.

— Musisz siedzieć w domu — powiedział kobiecie głos. — Musisz siedzieć i czekać na mnie. Nie wolno ci zrobić nic z tego, co chcesz, rozumiesz?

— Rozumiem — rzekł. — Będę czekać w domu. Tylko chciałbym, żeby już była szósta.

— Kuba — powiedział kobiecie głos bardzo miękko i cicho. — Przecież ty wiesz, że cię kocham. Nie mogę myśleć o tym, co się z tobą dzieje. Mam ochotę zrobić z sobą coś złego, kiedy mi ludzie powtarzają o tobie rozmaite rzeczy.

— To się skończy.

— To się musi skończyć, Kuba. O szóstej przyjdę po ciebie i pójdziemy tam razem. Ale przedtem chcę ci coś jeszcze powiedzieć.

— Słucham.

— Jeśli mi zrobisz jakiś kawał, to naprawdę koniec z nami, Kuba. Tak już nie można dłużej. Przynajmniej ja nie mogę, doszłam do jakiegoś kresu, musisz to zrozumieć.

— Po co to mówisz?

— Chcę, żebyś o tym wiedział. Teraz do widzenia. Czekaj na mnie o szóstej. Do widzenia, Kuba.

— Do widzenia — powiedział i odłożył słuchawkę.

Znowu podszedł do okna i oparł głowę o chłodne szkło. Ulicą, kuląc się z zimna przemykali ludzie. Stąd z wysokości szóstego piętra wyglądał tak smutno i przykro że nie można było na nich dłużej patrzeć — nieuchronnie przywodzili na myśl krzątające się owady. Zabolala go ta myśl; usiadł na fotelu i wyciągnawszy wygodnie nogi, marzył, aby nadeszła już godzina szósta.

Zadzwonił telefon. Drgnął; na twarzy jego odbiło się przerażenie. Stał chwilę bez ruchu i szeptał do siebie: „Przecież wczoraj nie piłem. Nigdzie się nie szwendałem, nigdzie nie piłem, nikt mnie nie widział...” Telefon zadzwonił po raz drugi, potem po raz trzeci. Wtedy zdecydował się nagle. Podszedł szybko i podniósł słuchawkę.

— Tak — powiedział; skurcze serca czuł w gardle.

— To ty, Kuba? — zaskrzeczał głos w słuchawce. — Serwus, tu Janek. Poznajesz mnie?

— Jasne.

— Cholerna pogoda dzisiaj — skrzeczał głos w słuchawce. — Zdaje się, że będzie lato. W nocy pewnie padało, co?

— Nie wiem — rzekł. — W nocy nie wychodziłem z domu.

— Nie wychodziłeś?

— Nie.

— A gdzie byłeś?

— W domu.

— W domu?

— Tak. W domu.

— To niemożliwe.

— Jednak.

Chwilę trwała cisza. Potem głos w słuchawce zaskrzeczał:

— Nie piłeś wczoraj?

— Nie.

— Nie wyglupiaj się!

— Daję ci słowo — powiedział. — Nie będę już więcej pić. Postanowiłem jeszcze raz spróbować. Albo się uda, albo nie. Jeśli nie to też będę wiedział, co ze sobą zrobić. — Zaczął mówić coraz szybciej. — Już nie mogę tak dłużej. Pójdę na kurację. Albo pomoże, albo nie. Powinno pomóc, co?

— Niektórym pomaga.

— To mnie też pomoże. Będę brał pastylki; po takiej pastylce nie wolno pić, bo człowiek może szlag trafić. Straszne rzeczy dzieją się z człowiekiem po takiej pastylce. Jeśli nie będę pił, to przez rok ludzie zapomną o mnie, co?

— Nie trzeba roku, aby zapomnieli o tobie.

— Ja też tak myślę — powiedział. — To dobrze. O szóstej przyjdzie po mnie Krystyna. Pójdziemy razem do tej przychodni. Ona tam weźmie dla mnie te pastylki. Mnie by samemu nie dali, rozumiesz? Baliby się, że nie będę ich porywał, że będę je wyrzucał. A tak ona weźmie i będzie mi je dawać. Przeszanę pić; nie będę pił przez rok, a potem nie będę już czuł pragnienia. Ludzie zapomną, że byłem pijakiem. Tak?

— Tak — odpowiedział skrzeczący głos. — Życze ci wszystkiego najlepszego. Do widzenia.

— Do widzenia — powiedział i odłożył słuchawkę.

Przeszedł do kuchni; całe ciało wypełniało mu mocne męskie szczęście. Patrzył w niebieski, wymykający się spod czajnika płomyk gazu i myślał o dniu, w którym na zawsze złamie się przeklęty krąg upokorzeń i wstydu, o dniu, w którym nigdy już nie poczuje pragnienia nikt już nie nazwie go pijakiem, nikt nie odwróci się od niego na ulicy, nikt nie okaże mu współczucia którego nie nawidził, troski, którą się brzydził i żalu że jest zdolny, młody, zdrowy i pije. W tym momencie telefon zadzwonił po raz trzeci. Wrócił do pokoju i podniósł słuchawkę. Nie zdążył jednak powiedzieć słowa, gdyż głos człowieka z drugiej strony przewodu rozległ się szybciej, niż przypuszczał.

(cdn.)

## Archiwum mistrzów anegdoty

Znakomitego kompozytora i dyrygenta Toscaniniego zaczyna w „La Scala” przed rozpoczęciem koncertu jakaś dama:  
— Drogi mistrzu, nie mogłam dostać w kasie biletu, wszystkie

zostały już wyprzedane, czy mógłby pan coś temu zaradzić?  
— Rozporządzam tylko jednym miejscem i gotów jestem je pani w każdej chwili ustąpić, o ile oczywiście życzy sobie pani tego.

— Ależ naturalnie! Serdecznie dziękuję. Ale gdzie jest to miejsce?  
— Przy pulpicie, szanowna pani...  
U nieznanego jeszcze całkiem Picassa zjawiał się pewnego razu bogaty kolekcjoner obrazów, który po długim namyśle zapytał o cenę

jednego z rysunków.  
— Dwadzieścia franków — zażądał nieśmiało malarz.  
— Dwadzieścia franków? — rzekł przybyły, spoglądając na stopy rysunków zalegające pracownię. — W takim razie, młody człowieku, ma pan tu cały majątek!  
Wyszperał Ryszard Dunin

# Krzyżówka nr 23 szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment powieści. Ostatnie litery 22 początkowych wyrazów pomocniczych utworzą imię i nazwisko autora oraz tytuł powieści, z której pochodzi cytowany tekst. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między wyrazami.

- Wyrazy pomocnicze:**
1. gaz trujący — 93, 150, 117, 146, 64.
  2. wyłazi z worka — 122, 192, 157, 29, 11, 48.
  3. reprezentuje go Prus — 78, 95, 21, 143, 158, 103, 130, 62, 52, 142.
  4. dział zakres — 162, 133, 15, 12, 70, 44, 125, 159, 151.
  5. pachnąco kwitnący krzew — 77, 164, 54, 13, 123, 69.
  6. bańniowy siltacz — 91, 36, 161, 29, 19, 60, 132, 49.
  7. strzeżenie — 85, 167, 8, 63, 72.
  8. płaci za nią PZU — 104, 23, 33, 50, 120, 87.
  9. azjatycki drapieżnik przybyły do Europy — 161, 134, 45, 7, 154.
  10. artyleryjski batalion — 168, 81, 4, 22, 129, 174, 27, 119.
  11. państwo europejskie — 82, 105, 59, 172, 115, 97.
  12. wybitny francuski malarz-kubista — 86, 173, 41, 113, 152.
  13. wieś nad Dunajcem ze słynnym drewnianym kościołem — 7, 16, 61, 37, 144.
  14. produkuje np. nawozy sztuczne — 141, 63, 66, 24, 42, 124.
  15. niesiony orleń — 17, 155, 47, 53, 56, 158.
  16. ma cztery boki — 147, 112, 96, 66, 111, 116, 74, 31, 58.
  17. rosółowe warzywo — 178, 23, 67, 118, 137.
  18. państwo pld.-amerykańskie — 143, 160, 82, 169.
  19. zwrot nieprzetłumaczalny — 75, 2, 1, 79, 139.
  20. staropolski męski ubiór — 80, 34, 109, 139, 107.
  21. jesiennie grzyby — 163, 171, 14, 81, 180.
  22. dolina w dorzeczu Pypeci i okolicach — 178, 40, 163, 76, 97, 5, 18.
  23. państwo pld.-amerykańskie — 149, 142, 9, 177, 46.
  24. część Boskiej komedii — 119, 131, 121, 23, 156, 176.
  25. lekki metal, „palacy” się w połączeniu z wodą — 127, 90, 26.
  26. kraj w środkowej części RFN — 99, 6, 89, 109, 149.
  27. tybetańskie bydło — 95, 10, 135, 84.
  28. pies milicyjny z polskiego filmu — 43, 153, 136, 39, 39.
  29. grubszą kromką — 84, 93, 178, 51, 106.
  30. dowódca małego statku — 94, 114, 25, 136, 71, 122.
  31. płazowe meble — 179, 38, 72, 32, 108.
- Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skrz. poczt. 231, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy boni książkowy wartości 500 zł.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13		
14	15	16		17	18		19	20	21	22	23	24	25	
26	27		28	29	30	31	32	33	34		35	36	37	
38	39	40	41	42	43	44	45	46	47	48		49	50	
51	52	53	54		55	56	57	58		59	60	61	62	63
64		65	66	67	68	69	70	71	72	73	74	75	76	77
	78	79	80	81	82	83	84		85	86	87		88	89
90	91		92	93	94	95	96	97	98	99		100	101	102
103	104	105	106	107	108	109		110	111	112	113	114		115
116	117	118	119	120	121	122	123	124	125		126	127	128	
129	130	131	132	133	134	135		136		137	138	139	140	141
142		143	144	145	146	147	148		149	150	151	152	153	154
155	156	157	158	159	160	161		162	163	164		165	166	167
168	169	170	171	172	173	174		175	176	177	178	179	180	

**ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 21 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO**  
Trigubowo leżało o paręset metrów. Markiewicz tak właśnie pomyślał; leżało. Po salwie naszej artylerii nie widać było jednej całej chałupy ba nawet kurki rozsypany się. Także je kopał takis gniewny obrzym.  
Jerzy Putrament. Powrót. Wybrańcy t. 2  
Magrodę otrzymuje Marian Samujlik, Kołomyży, 21-311 Komarówka Podlaska.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wańsiewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz: Anna Bocian, Mirosław Derecki, Rafał Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.  
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych zastrzeżenie sobie i broty w sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątek w godz. 14-18.  
Wydawca: Robotnicze Spółdzielnie Wydawnicze ZSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 132-24.  
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PEWN w Lublinie, ul. Ostroja 6.  
Adres redakcji: 20-950 Lublin, skrzynka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.  
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 232-23, dział publicystyki i literacki 233-24.  
Korespondencje proszę adresować pod adresem 20-950 Lublin, skrzynka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.